DUNAJEC

Nowosądecki tygodnik PZPR

Nr 32 (457)
6 sierpnia 1989 r.
Cena 60 zł

PL ISSN
0208-5968
Nr indeksu 35657

Fot. ANTONI ŁOPUCH

Stefan Ciepły

Rabka — miasto dzieci czy emerytów? (2)

Rabka należy do tych, nie tak znowu licznych miejscowości w kraju, które — jak stolica i Kraków, jak Zakopane i Krynica, jak Sopot i Międzyzdroje — są czymś na tyle wyjątkowym, że stanowią stały przedmiot zainteresowania całej polskiej opinii publicznej.

Dlatego każdemu przedsięwzięciu podejmowanemu tutaj zawsze towarzyszyć będą rozmaite opinie „z zewnątrz"; dlatego głosy krytyczne ludzi tu nie mieszkających są tak samo uprawnione, jak i „tubylców"; dlatego wreszcie dobrze rozumiejąca swoje funkcje władza lokalna będzie się z nimi liczyć, ponieważ w rewanżu liczyć może na inicjatywy i fundusze, o które gdzie indziej znacznie trudniej. Życie władzy jest tu zatem odrobinę trudniejsze, bo stale w świetle jupiterów, ale i przyjemniejsze, bo któż nie lubi ról pierwszoplanowych.

Po tym nieco przydługim wstępie pora wrócić do pytania sprzed tygodnia: co właściwie owa niekoronowana stolica królestwa Maciusia I oferuje dzieciom? Jakie atrakcje — obok swych naturalnych warunków klimatycznych i bazy leczniczej? Czy uprawniona jest opinia, by Rabkę uznać za miasto dzieci?

Gdyby turysta z zagranicy nie znający Polski, przyjechał do Rabki, nie wiedząc o jej funkcji, zapewne by się nie domyślił, że trafił właśnie do tego rodzaju uzdrowiska. Ulice nie różnią się ani nazwami (które przecież powinny być zdominowane bajkowym nazewnictwem rodem z Christiana Andersena, braci Grimm, czy Janusza Korczaka), ani bardziej kolorowym wystrojem (rzeźby przestrzenne, place zabaw). Także na ulicach nie więcej się widzi dzieci, niż gdzie indziej. Podobnie domy — ta sama szarość i brak fantazji. Sklepów z zabawkami dla dzieci także nie widać w obfitości, podobnie jak lodziarni i cukierni.

Wchodzisz do parku, ale on też nie odbiega wyglą-

(CIĄG DALSZY NA STR. 4)

Anna Szopińska

Sprawa Antałówki

W tajnym głosowaniu, na lipcowej sesji Rady Narodowej Miasta Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej, dziewiętnastoma głosami przeciwko siedemnastu zdecydowano o zmianie w aktualnym planie zagospodarowania przestrzennego terenu. Zatwierdzenie projektu poddanego osądowi radnych przesądza o powstaniu na Antałówce hotelu na 600 miejsc, hotelu finansowanego głównie kredytem „argentyńskim".

Decyzja zapadła po prawie pięciu godzinach burzliwej dyskusji i bardzo wielu wypowiedziach osób zainteresowanych sporną kwestią. Problem od dłuższego czasu rozgrzewał emocje różnych zakopiańskich środowisk i dojrzewał do rozstrzygnięcia, ale dopiero teraz postawiony został na forum Rady. W sali obrad zakopiańskiego Urzędu przeciwnicy hotelu zasiedli po lewej stronie, zwolennicy po prawej. Usankcjonowany przez przewodniczącego Rady porządek wypowiedzi co rusz przerywała głośna wymiana zdań między stronami — w stylu:

— *Teren jest narodowy, należy do całej Polski i całej ludzkości!*

— *Pokrzywy tam rosną!*

Wiele logicznych pytań, jak choćby to, dlaczego załatwianie kredytów na budowę hotelu poprzedziło decyzję o lokalizacji — nie doczekało się precyzyjnej odpowiedzi. Nikt oficjalnie nie poprosił o przedstawienie zasygnalizowanych przez naczelnika Miasta kontrpropozycji z innych państw i alternatywnych lokalizacji. Niektórzy spośród zabierających głos chcieli się upewnić, czy Wysoka Rada jest rzeczywiście gospodarzem na swoim terenie.

Przedstawiciele „Solidarności" nie ferując łatwych wyroków w kwestii: korzystne czy niekorzystne dla miasta będzie powstanie tak dużego hotelu na Antałówce — zwracali uwagę na sposób załatwiania tej sprawy i tryb postawienia jej przed radnymi. Podkreślali, że temat budowy hotelu powstał gdzieś ponad opinią tutejszej społeczności i lokalnych władz, tudzież został „kompleksowo rozwiązany", zyskując dotacje i konieczne uzgodnienia. Podnosili także aspekt społeczny tej inwestycji, czyli wątpliwą dla stałych mieszkańców Zakopanego korzyść z obiektu zamkniętego, przeznaczonego dla ludzi o najwyższym standardzie życiowym. Puentą wyrażonej przez środowisko „Solidarności" opinii zdaje się być stwierdzenie, że budownictwo na terenie Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej rozwija się poza oficjalnymi strukturami władzy, a obecność domów wypoczynkowych wielu urzędów centralnych nie przyniosła miastu widocznych korzyści.

Z refleksją wiceprzewodniczącego Rady, że *całość sprawy nie została należycie przedstawiona nie tylko społeczeństwu, ale i radnym* — godzili się chyba wszyscy obecni. Zarazem pojedyncze głosy optujące za odłożeniem decyzji do czasu wniklivego rozeznania sprawy ścichły w chórze głosów domagających się szybkiego i ostatecznego rozstrzygnięcia.

Sprawę Antałówki i planowanego na jej stoku hotelu przybliżmy choć pobieżną informacją. Aktualny plan zagospodarowania przestrzennego terenu zatwierdzono w roku 1986 — Antałówka figuruje w nim jako obszar przeznaczony dla rekreacji i sportu, bez możliwości „realizowania dużych obiektów kubaturowych z wyjątkiem rozbudowy basenów". W 1987 r. TPT „Tatry" wystąpiło do Urzędu Miasta z prośbą o umożliwienie mu postawienia na tym terenie hotelu dla 600 osób. Urząd Miasta przekazał prośbę Prezydium MRN, a ono zaopiniowało pozytywnie propozycję Przedsiębiorstwa, uznając inwestycję za celową. Pozytywną opinię podtrzymało potem Prezydium MRN obecnej kadencji. W międzyczasie TPT „Tatry" wystarało się o kredyty i stosowne uzgodnienia. 35 mln dolarów przeznaczonych na budowę hotelu spłynąć ma z centralnych banków Argentyny, 3 miliardy w złotówkach obiecał minister rynku wewnętrznego. Hotel przewidziany jest do realizacji w cyklu 24-miesięcznym, wykonawstwa podjęła się firma amerykańska, podwykonawcą do prostszych robót byłaby krakowska „Chemobudowa". Zgoda Prezydium MRN obwarowana została jednak warunkami, które obligowały inwestora do:

— architektonicznego przystosowania obiektu do wymogów stylu regionalnego

— wybudowania ogólnodostępnego basenu z leczniczą wodą termalną

— odtworzenia naruszonego w trakcie budowy drzewostanu.

Wskazanie lokalizacyjne dla hotelu wydał ówczesny kierownik Wydziału Architektury, projekt wykonał obecny kierownik tegoż wydziału. Projekt ów przewiduje ponoć na parterze budynku punkty usługowe, z których mogliby korzystać mieszkańcy Zakopanego i inni turyści, przewiduje także dwa baseny, w tym jeden dla hotelowych gości, drugi ogólnodostępny. Urządzenia sportowe powstałe w otoczeniu obiektu mogłyby, według zapewnień, służyć i hotelowym gościom i zakopiańczykom. Dyrektor TPT „Tatry" zapewnia też, że sprawa od początku rozwijała się w przytomności władz miejskich, wojewódzkich i kolejnych architektów.

Ponieważ jednak obowiązujący plan zagospodarowania przestrzennego nie dopuszcza na stoku Antałówki obiektów tak wielkich jak hotel na 600 miejsc, TPT „Tatry" musiało dla umożliwiającej budowę zmiany w planie zyskać akceptację radnych.

20 lipca okazało się, że lista argumentów przemawiających za budową jest krótsza niż lista argumentów przeciwników hotelu, zaś siłę argumentów odzwierciedlił wynik głosowania.

Pozytywnie zaopiniowała projekt zmiany w planie Komisja Rozwoju Gospodarczego i radni ZSL tudzież Konserwator Przyrody. Argumentem wysuwanym na pierwszy plan przez zwolenników budowy był zysk ekonomiczny — po okresie spłat kredytów (czyli mniej więcej po ośmiu latach) hotel przynosiłby miastu grubo ponad miliard czystego zysku rocznie — zysku w zotówkach i dewizach, co dla „dziurawego" budżetu jest sumą niebagatelną. Za lokalizacją hotelu właśnie na Antałówce przemawiał w opinii tej strony fakt, że chodzi o teren nierolniczy, budowlany, stanowiący państwową własność i wkraczający tylko częściowo w zieloną enklawę. Podpierając się dwukrotną akceptacją Prezydium MRN i pozytywnymi uzgodnieniami, jeśli chodzi o zapewnienie wody, ciepła i odpływu ścieków dla obiektu — roztaczał dyrektor TPT wizję stworzenia bazy hotelowej, gastronomicznej i rekreacyjnej na wysokim poziomie, podnosił korzyści płynące z użytkowania wód termalnych, które się marnują i zyskania ogólnodostępnego basenu. Antałówka bogatsza o obiekty i urządzenia powstałe wokół hotelu byłaby wtedy terenem zorganizowanego wypoczynku. Do mitów zaliczył obóz zwolenników bu-

(CIĄG DALSZY NA STR. 6)

ILE ZA CO?

Dolary. Kosztowały 1 sierpnia w nowosądeckim PKO 6000 zł (cena skupu — 5700 zł), marki zachodnioniemieckie — 3000 zł (2800 zł), franki francuskie — 910 zł (820 zł), franki szwajcarskie — 3500 zł (3350 zł), funty — 8900 zł (8500 zł), szylingi austriackie — 450 zł (380 zł). A oto ceny proponowane przez „konków": dolar — 5850 zł, bon PKO — 5700.

Maślany rynek. Jaja — od 95 do 100 zł. Kilogram wczesnych gruszek — 400 zł, jabłek — od 300 do 800 zł (kilogram zeszłorocznych idaretów — 900 zł), czereśni — od 800 do 1600 zł, wiśni — 900 zł, moreli — 2,5 tys. zł, rabarbaru — 50 zł, czerwonej porzeczki — 500 zł, porzeczki czarnej — 1300 zł. Szklanka poziomek — 350 zł, litr borówek — od 1600 do 2 tys. zł, kilogram fasolki szparagowej — od 900 do 1000 zł, żółtej papryki — 1700 zł. Kapusta — 100 zł, kapusta czerwona — 150 zł, kilogram cebuli — 600 zł, ziemniaków — od 160 do 170 zł, pomidorów — od 1600 do 1800 zł, ogórków — od 600 do 700 zł, kalafior — od 100 do 300 zł. Litrowa miarka bobu — 700 zł, pęczek rzodkiewki — 70 zł, naci z pietruszki — 50 zł, szczypiorku — 50 zł, marchewki — 100 zł, ćwikłowych buraczków — 100 zł. Kalarepa — 40 zł, czarna rzodkiew — 50 zł, korzeń chrzanu — 100 zł. Miarka owsa — 850 zł, litr pszenicy — 150 zł.

Mięso znikało ze straganów błyskawicznie, kupujący nie wybrzydzali. Łopatka z kością — 4 tys. zł, szynka — 4 tys. zł, boczek — 2 tys. zł, słonina — 400 zł, żeberka — od 2 do 2,5 tys. zł.

Targ zwierzęcy. Kaczka — 3 tys. zł, kura — od 3 do 4 tys. zł, kogut — od 4 do 5,5 tys. zł, jagnię — 20 tys. zł, koza — 70 tys. zł. Osełka do kosy — 400 zł, wiklinowy kosz na ziemniaki — 2 tys. zł.

„Ciuchy". Rajstopy „Chic" — 3,5 tys. zł, trampki „Basket" — 15 tys. zł, damskie, czarne „szpilki" — 60 tys. zł, kredki do ust „Lifstick" — 1700 zł, czechosłowackie kredki do oczu — 1000 zł, metr „majtkowej" gumki — 150 zł, metr czerwonego, radzieckiego płótna na wsypy — 2 tys. zł. Męski zegarek elektroniczny z kalkulatorem — 23 tys. zł, elektroniczny zegarek na rękę z wbudowanym radiem — 40 tys. zł zestaw kolejki „Piko — TT" produkcji NRD — 45 tys. zł, kilkudziesięcioletnie, lampowe radio „Pionier" — 10 (!) tys. zł. Kawa „Arabica" — 4,5 tys. zł, samochodowy atlas Europy — 16 tys. zł, „Mała Encyklopedia Lekarska" — 15 tys. zł.

Parlamentarna arytmetyka

Kto interesuje się pracą zagranicznych parlamentów, ich wewnętrznym życiem i rozgrywkami — ten dobrze wie, jak wiele tam znaczą liczby i procenty. Np. przy głosowaniu, popieraniu bądź zwalczaniu koalicji, utrącaniu niekorzystnych dla którejś z partii inicjatyw ustawodawczych. Właśnie za granicą bywało, że o ważnej sprawie zadecydował jeden głos czy zakulisowe porozumienie parlamentarnych frakcji. To właśnie tam, po obliczeniu głosów, okazywało się, że nie przestrzegano dyscypliny partyjnej. Istnieją kraje, w których rządzi republikański prezydent, a demokraci mają przewagę w senacie. Bywa, że o względy małej partii, „języczka u wagi", zabiegają również gorliwie dwie duże.

Takie rzeczy działy się i w Polsce, tyle że dawno. Ot. choćby Konstytucję 3 Maja uchwalono przy obecności zaledwie 1/3 posłów uprzednio „ugadanych". Inną znów ustawę zasadniczą — w 1935 r. — uchwalono zorientowawszy się, że powstała taka nadzwyczajna szansa po demonstracyjnym opuszczeniu przez opozycję sali obrad. BBWR uznał rozpatrywane właśnie tezy do projektu — za projekt i gdy opozycyjni posłowie wrócili na salę, było już (niezgodnie z prawem oczywiście) po pierwszym i drugim czytaniu. Ostatnio jednak mieliśmy spokój, liczyć niczego nie trzeba było zbyt dokładnie — no może trochę bardziej pod koniec IX kadencji — ot, tylu za, trochę przeciw, paru wstrzymujących się; nawet marszałek czasem zapominał o sprawdzeniu *quorum*. Jednakże obecnie trzeba będzie zacząć liczyć, dodawać, odejmować, obliczać procenty, pamiętać, ilu jest posłów i senatorów, z jakiej partii.

Konstytucja ani regulamin sejmowy nie ustalają minimalnego *quorum*, przy którym mogą toczyć się plenarne obrady Sejmu, tym bardziej Senatu, który regulamin dopiero sobie opracuje. Jedynie dla podejmowania uchwał i ustaw przez Sejm wymagana jest obecność co najmniej jednej trzeciej ogólnej liczby posłów — 154 lub — w pewnych przypadkach — połowy ich liczby — tj. 230. Ustawy i uchwały Sejm podejmuje zwykłą większością głosów, większością bezwzględną lub większością kwalifikowaną — w zależności od treści decyzji; określa to Konstytucja lub regulamin sejmowy. Na wniosek — to taka ciekawostka — co najmniej 30 posłów marszałek Sejmu mógł (do tej pory) zarządzić głosowanie imienne.

Sądzę, że z większą niż kiedykolwiek uwagą będziemy się przypatrywać pracy i rozgrywkom również i w naszym Sejmie. Warto więc przypomnieć, jak to z tym głosowaniem może być. A zatem: większość zwykła — ma miejsce wtedy, kiedy liczba głosujących „za" jest większa (nawet o jeden głos) od głosujących „przeciw": wstrzymujących się od głosu liczy się do *quorum* — wszak są obecni — lecz nie bierze się pod uwagę przy ustalaniu wyniku głosowania. Teoretycznie może być i tak, że wstrzymujących się będzie więcej niż głosujących. Z większością bezwzględną mamy do czynienia wówczas, gdy ponad połowa obecnych głosuje „za"; określa się to zazwyczaj 50 proc. plus 1 głos. Większość bezwzględna obowiązuje np. przy wyborze prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe, lecz w obecności co najmniej połowy ogólnej liczby członków Zgromadzenia. Wymóg obecności „przynajmniej połowy ogólnej liczby członków" łączy się ze szczególnym rodzajem większości bezwzględnej, jaką jest większość kwalifikowana określana najczęściej za pomocą procentów lub ułamków: 2/3, 3/5. Większość 3/5 głosów w obecności co najmniej połowy ogólnej liczby członków Zgromadzenia Narodowego obowiązuje w przypadku uznania trwałej niezdolności prezydenta do sprawowania urzędu, np. ze względu na stan zdrowia.

W pozostałych przypadkach obowiązuje ułamek 2/3 — oczywiście przy obecności połowy ogólnej liczby posłów, senatorów czy członków Zgromadzenia Narodowego. I tak — potrzeba dwóch trzecich poselskich głosów, aby wyrazić zgodę na pociągnięcie posła do odpowiedzialności karno-sądowej lub na jego aresztowanie — podobnie decyduje Senat w sprawie senatora. Dwóch trzecich głosów potrzeba dla nieprzyjęcia przez Sejm propozycji Senatu w sprawie poprawek w ustawie bądź jej odrzucenia, do nieprzyjęcia przez Sejm prezydenckiego *veta* czy do przyjęcia przez Sejm uchwały o rozwiązaniu się. Z kolei uchwała Zgromadzenia Narodowego (Sejm plus Senat) w sprawie postawienia prezydenta w stan oskarżenia może nastąpić na mocy uchwały podjętej większością co najmniej dwóch trzecich głosów ogólnej liczby członków Zgromadzenia Narodowego.

Jak z tego wynika, liczyć się będzie — zwłaszcza w Sejmie — każdy głos. Jeden poseł to wprawdzie jeden głos, ale tylko ok. 0,2 proc. wszystkich głosów. Tak więc bez porozumienia i dogadywania się w Sejmie nie będzie możliwe stanowienie prawa ani rządzenie krajem. „Solidarnościowy" Senat może zastosować legislacyjne *veto* wobec każdej uchwały i ustawy. Aby je odrzucić, potrzeba — np. w przypadku, gdyby Sejm obradował w komplecie — ponad 303 głosy. Gdy prezydent odmówi podpisania ustawy — jej ponowne uchwalenie wymaga również większości co najmniej dwóch trzecich głosów w obecności przynajmniej połowy ogólnej liczby posłów. Czyli — ani koalicja, ani opozycja sama nie wystarczy, aby Sejm był Sejmem.

W tym parlamencie poseł rzadko będzie mógł sobie pozwolić na nieobecność, nawet usprawiedliwioną.

DOROTA MARKIEWICZ

Widok z ubikacji

Kiedy przed niewielu laty PKS, ażeby sobie życie uprościć, zlikwidował na własnych dworcach autobusowych przechowalnie bagażu, to samo dotknęło także zakopiański dworzec. Nie trzeba wyobraźni, aby jej oczami zobaczyć tłum przelotnych turystów, którzy mając godzinę na zwiedzenie miasta albo czekając na przesiadkę chętnie wybraliby się na spacer po parku, a muszą tłoczyć się w ciasnych poczekalniach i siedzieć na własnych, zbyt ciężkich walizach. Lecz w Zakopanem było lepiej niż wszędzie. Tutaj obsługa dworcowa miał miękkie serce i jeszcze przed rokiem dało się ubłagać miłą sprzedawczynię biletów, aby włożyła plecaki za kratę nieczynnej, ale przecież istniejącej przechowalni. Obecnie — nic z tego. Paniom kasjerkom widocznie takiej prywaty uprawiać nie wolno. Lecz jeśli już turysta wyjątkowo na oko nieszczęsny i złachany, kasjerka czasem się ulituje i doradzi sposób: proszę udać się do babci klozetowej i pogadać. Babcia mocno się waha i trochę obawia, ale jeśli długo i grzecznie ją prosić, ulega i wrzuca nasz bagaż do pustej, a pod jej kluczem kabiny. I tyle. Turysta wychodzi lekki i szczęśliwy, pani klozetowa ma dodatkowy a godziwy zarobek (obowiązuje taryfa „za stówę" ale nie jest to taksa wymuszona przez babcię, lecz dobrowolna umowa, a jej wymiar uzyskuje się pocztą pantoflową od poprzedniego klienta). Słowem — wszyscy są zadowoleni, a nowa instytucja bez etatów, pieczątek, papierów, kwitów formatu A-4 i ubezpieczeń od wydarzeń losowych funkcjonuje bez zarzutu. Babcia ma do życia stosunek praktyczny i bezpośredni, i pewnie dlatego nieźle w nim sobie radzi, a innym go nie utrudnia.

Zostawmy jednak w spokoju babcię klozetową. Jej usługi to jednak błachy fragment typowo polskiego specjału: normalności na opak wywróconej. Chodzić do ubikacji zamiast do przechowalni bagażu i jeszcze mieć to za ułatwienie, jeszcze to sobie chwalić! Toż to czysty nonsens, wcale nie wynikający z wyższych konieczności życia. Tworzą je wciąż nadto chętnie panowie i panie zawiadujący publicznymi instytucjami tak, jakby były przeznaczone dla ich wygody rządzenia, a nie dla ludzi płacących podatki i z tych podatków utrzymujących mimo woli takie dworce, takie martwe przechowalnie bagażu i taką absurdalną Polskę.

Post scriptum. Piszę te słowa w wielkim strachu, że zakopiańskie władze dworcowe wykażą teraz zaradność w sprawie przechowalni: pouczą lub wyrzucą miłą babcię, jedyną ostoję przyjezdnych. A wtedy już nikt się nie użali.

ZOFIA SZLACHTA

Warto wiedzieć, że...

Jaki powinien być samorząd lokalny, jego kompetencje, skąd winien czerpać środki finansowe? Tym razem pytamy przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej w **Nowym Targu**, sędziego **MARKA RUSINA.**

— **Pytanie o samorząd to nic innego jak pytanie o demokrację i jej zakres.** Pozycja samorządu — tak w strukturze organizacyjnej, jak kompetencjach i stopniu zależności od administracji rządowej — zależy od ustroju politycznego. Ustroje demokratyczno-liberalne opowiadały się za szerokim udziałem samorządu w rozwiązywaniu i zaspokajaniu lokalnych lub grupowych potrzeb ludności i wyposażały go w samodzielność finansową. Ustroje totalne dążyły do ograniczenia kompetencji i samodzielności samorządu aż do całkowitego podporządkowania go organom administracji.

Proponowane nowe wybory do samorządu winny być poprzedzone takimi zmianami prawnymi, aby radni mogli się stać faktycznymi gospodarzami terenu. Do tej pory nie ma jasnej koncepcji nienia komunalnego ani wyposażenia samorządów w osobowość prawną, nie określono jego stosunku do administracji państwowej. Uważam, że obecny stan prawny w sposób niejasny sytuuje rady narodowe względem samorządu miast i wsi, a także pomija stosunek samorządu lokalnego do samorządów zawodowych. Przez parę dziesięcioleci próbowano identyfikować samorząd lokalny z samorządem wiejskim, dzielnicowym, osiedlowym czy domowym. Samorządy lokalne, z wyjątkiem wiejskich, nie miały żadnego znaczenia, gdyż nie były wyposażone w skuteczne uprawnienia. Fikcja ta jest utrzymywana nadal.

W ustawie o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego z 1983 roku powiązano samorząd z radami narodowymi, co jeszcze bardziej zaciemniło sprawę. Uznano że rady są organami samorządu terytorialnego, spełniają funkcje władcze i samorządowe. Wyposażono rady w skuteczne uprawnienia kontrolne wobec administracji. Uprawnienia uchwałodawcze są wprawdzie szerokie, ale mało skuteczne, gdyż aby rządzić, trzeba mieć środki materialne oraz możliwość skutecznej egzekucji powziętych uchwał.

Osobiście nie mogę się zgodzić na takie samo potraktowanie rad narodowych stopnia podstawowego i wojewódzkiego, jako organów samorządu terytorialnego. Można się samemu rządzić w niewielkiej, zintegrowanej społeczności, związanej tymi samymi problemami, a więc we wsi, gromadzie, mieście, dzielnicy czy gminie. Jeżeli jednak radę stopnia wojewódzkiego wyposażamy w większe uprawnienia samorządowe i dajemy możliwość decydowania w sprawach miast i gmin, to niszczymy autentyczny samorząd. Tworzymy małe „państwa" w państwie, ponieważ wojewódzkie rady narodowe działają tak jak sejm, a nie jak samorząd. Stworzenie nowej struktury samorządowej wymagałoby zmiany podziału administracyjnego kraju.

Podobno przyczyną rozparcelowania w 1975 roku dużych województw była ich zbytnia autonomia. Przy autentycznym samorządzie taka zmiana podziału administracyjnego nie miałaby miejsca. Praktycznie powiaty odradzają się, gdyż administracja skarbowa, kolegia do spraw wykroczeń, milicja, prokuratura, wymiar sprawiedliwości (a niedługo pewno i nadzór szkolny) działają w tych strukturach terytorialnych. Powiat dawał możliwość koordynowania działań jednostek podstawowych blisko siebie położonych, stanowiących jeden organizm kulturowy i gospodarczy, np. Podhale, Sądecczyzna. Obecnie tzw. „teren" traktuje województwo z nieufnością, a nawet wrogością, na co składa się wiele przyczyn, o których nie czas i miejsce mówić. W każdym razie obecne województwa nie spełniają funkcji koordynacyjnych dla kilkudziesięciu jednostek podstawowych. Nowy samorząd lokalny widzę więc w nowej strukturze podziału administracyjnego.

Samorząd podstawowy o najszerszych uprawnieniach to samorząd miejski i gminny, a w tym rady gromadzkie i sołtysi. Samorząd ten winien powstawać w wyborach powszechnych. Drugim szczeblem samorządu — o uprawnieniach kontrolno-koordynacyjnych winien być samorząd powiatowy (regionalny). Powołanie tego samorządu nie musiałoby nastąpić w drodze wyborów powszechnych — radni powiatowi mogliby pochodzić z wyborów pośrednich (spośród radnych stopnia podstawowego).

Samorząd wojewódzki winien pełnić funkcje kontrolne i do niego wystarczą wybory pośrednie, ale proszę zwrócić uwagę, że obecnie radni wojewódzcy są zbyt mało powiązani z rada-

STANISŁAW KUTA NOTES

Jaka jest sytuacja naszego rolnictwa? W czerwcu mieliśmy bardzo niekorzystne warunki agrometerologiczne dla przeprowadzenia sianokosów, co doprowadziło do znacznego opóźnienia w zbiorze pasz. Z powodu wyługowania oraz nadmiernego zdrewnienia roślin — jakość zebranego siana i jego wartość odżywcza jest niższa niż w latach poprzednich. Trudno już dziś określić, w jakim stopniu wpłynie to na rozwój hodowli, gdyż to zależy również od wielu czynników.

Rozpoczęto koszenie drugiego pokosu łąk. Za kilka dni zaczną się żniwa. Zebrać musimy zboża z ponad 70 tysięcy hektarów. Ponad 50 procent (na 36 tys. ha) zbóż poddano chemicznej ochronie przed chwastami. Jednak żniwa będą ciężkie. Z powodu gwałtownych opadów deszczu i gradobicia część zbóż wyległa, co spowoduje konieczność ręcznego zbioru. W niektórych rejonach województwa (gminy Limanowa, Podegrodzie i Łukowica) czerwcowe gradobicie zniszczyło uprawy polowe i sadownicze w 80-90 procentach. Obecnie trwa tam szacowanie szkód pogradowych. Zajdzie też konieczność dostarczenia rolnikom dodatkowych środków produkcji, szczególnie pasz.

★

W dalszym ciągu przychody ludności województwa (w I półroczu) przekraczają prawie o 15 punktów dynamikę wydatków kierowanych na zakup towarów i usług. Zasadniczym powodem takiego stanu rzeczy jest brak podaży na rynek poszukiwanych towarów — głównie przemysłowych, materiałów budowlanych oraz maszyn rolniczych. Część przychodów ludności lokowana jest w formie oszczędności na rachunkach PKO i Banków Gospodarki Żywnościowej. Przez pięć miesięcy bieżącego roku wkłady oszczędnościowe wzrosły w województwie o 9,5 miliarda złotych.

★

Utrzymuje się trudna sytuacja zaopatrzeniowa. Mieszkańcy odczuwają coraz większą uciążliwość codziennych zakupów. Obok braku dostaw towarowych, jest to także związane z nasileniem ruchu turystycznego, który szacuje się na około 400 tysięcy osób dziennie, w tym ponad 60 tysięcy uczestników kolonii i obozów. Zaopatrzenie tak dużej liczby osób jest szczególnie trudne, tym bardziej, że województwo nie posiada żadnych piorytetów u dostawców spoza naszego regionu. Zapasy zgromadzone wcześniej w jednostkach handlowych szybko się wyczerpują, a dostawcy nie zaspokajają potrzeb. Zrobiono jednak wszystko, aby zaopatrzyć w artykuły spożywcze kolonie, obozy i placówki lecznictwa uzdrowiskowego. O wszystko trzeba „walczyć" u dostawców. Ostatnio udało się uzyskać dodatkowo dla województwa 320 tysięcy rolek papieru toaletowego.

★

Działacze Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego boleją nad odpływem młodych ludzi ze wsi i wręcz demonizują gospodarcze konsekwencje owego zjawiska. Jednocześnie naczelny organ tego stronnictwa, „Zielony Sztandar" (28/29) w myśl zasady „pecunia non olet", zamieszcza w swej kolumnie ogłoszeń bodaj wyłącznie oferty różnych zakładów pracy, nie mających nic wspólnego z gospodarką żywnościową, nawołujące, by młodzi ludzie ze wsi porzucali zawód rolnika dla zawodu górnika, ślusarza-spawacza, operatora sprzętu budowlanego, zbrojarza, betoniarza, montera rurociągów okrętowych, kadłubów okrętowych, rusztowań rurowych i innych podobnych — zauważają „Perspektywy" (nr 29).

KRONIKA MILICYJNA

Rozboje i pobicia: W zakopiańskiej restauracji „Wierchy" dwóch mężczyzn zabrało mieszkańcowi Ratułowa biżuterię wartości 544 tys. zł. ◆ Prawie 52 tys. zł zabrał napastnik mieszkańcowi Kasinki Małej, Stanisławowi P. Sprawcę zatrzymano ◆ Właściciel warsztatu naprawy samochodów w Zakopanem, Wacław K. został pobity przez klienta — Andrzeja K. za... niewykonanie w terminie usługi. ◆ Nowosądeczanka Janina P. została ograbiona z torebki, w której znajdowały się klucze od mieszkania, dowód osobisty, kartki żywnościowe i pieniądze.

Kradzieże i włamania: Aż trzy sklepy w Rabce stały się obiektem działalności włamywaczy. Milicyjny pościg zatrzymał sprawców — limanowian Maksymiliana K., Rafała D. i Stanisława D., nowotarżanina Pawła W. i mieszkańca Brzeznej Grzegorza Z. ◆ Stanisław Ł. i Ignacy M. zagarnęli w Nowotarskich Zakładach Przemysłu Skórzanego „Podhale" skóry naturalne i sztuczne oraz obuwie męskie łącznej wartości prawie 2 mln 472 tys. zł. Sprawców zatrzymano, łupy odzyskano. ◆ Z mieszkania Anny D. w Zakopanem włamywacze wynieśli 100 tys. zł i 10 dolarów USA. ◆ Po otwarciu drzwi do zakrystii kościoła parafialnego w Lubniu włamywacze zabrali 5 sznurów prawdziwych korali oraz 2 kielichy mszalne pozłacane. Łączna suma strat — około 3 mln zł ◆ Z zaplecza zabytkowej kaplicy parafii szczawnickiej włamywacz skradł wzmacniacz „akord" i 2 sznury sztucznych pereł.

Wypadki: Na ul. Krakowskiej w Limanowej kierowca PKS — Andrzej T. zjechał autobusem do przydrożnego rowu. Autobus wywrócił się, 5 pasażerów doznało lekkich, a 2 ciężkich obrażeń ciała ◆ W Klęczanach „żuk" Jerzego P. — mieszkańca Libuszy potrącił śmiertelnie pieszego Czesława K. z Kwiatonowic. ◆ Z poddasza domu w Łącku wypadła na beton 4-letnia Joanna P., ponosząc śmierć na miejscu ◆ Władysław G. ze Szlembarku, ładując drewno na przyczepę, został śmiertelnie przywalony pniami. ◆ Winda budowlana przygniotła nieletniego Tomasza P., zatrudnionego przy budowie kościoła w Kasinie Wielkiej ◆ W strzeżonym przez wartowników i wychowawców basenie kąpielowym NZPS „Podhale" w Nowym Targu utonął 9-letni kolonista z Gdyni — Grzegorz R. ◆ Podczas holowania szybowca samolotem „wilga" należącym do Aeroklubu Tatrzańskiego samolot spadł na ziemię, a pilot — Bogdan B. doznał ciężkich obrażeń ciała.

elg.

proszę o głos

Od prawie dziesięciu lat mieszkam poza krajem — w RFN. Ojczyznę odwiedzam gdy tylko mogę, bo tęsknię za nią. Ledwie jednak przekroczę granicę, chciałbym jak najszybciej uciekać z powrotem. Wystarczy, że wejdę do pierwszego WC: brud i smród, zdewastowane spłuczki, rąk nie ma gdzie umyć, papier nie zawsze jest do dyspozycji. Tylko ceny skaczą z roku na rok.

Inna moja obserwacja: w Polsce nie szanuje się pieniędzy. W sensie dosłownym — banknotów. Proszę zobaczyć, co z pieniędzmi robią kasjerki w większości sklepów w Nowym Sączu: wrzucają do szuflady luzem, potem przebierają w tym, grzebią, wyciągają (ludzie zresztą też rzadko przechowują banknoty porządnie ułożone w portmonetkach, jak to się czyni na Zachodzie). Tylko w „Hermesie" widziałem, że kasjerki układają banknoty według nominałów. To im przecież także ułatwia pracę, niemal w ciemno wiedzą, gdzie po jaki pieniądz sięgać.

Ale w tym samym „Hermesie" nie dba się o kulturę zaprezentowania towaru. Masło byle jak ciśnięte do lady chłodniczej, puszki do plastikowych kontenerów. Aby kupić pół bochenka chleba, trzeba iść z nim do sąsiedniego stoiska, bo przy chlebie nie ma noża, a o pokrojeniu paru bochenków na zapas nikt nie pomyśli. W ogóle w polskich sklepach personel jest od tego, by stać i patrzeć zamiast ciągle troszczyć się o wygląd stoisk i wygodę kupujących.

Gość wchodzący do restauracji (to obserwacja z Limanowej) traktowany jest jak natręt. Karty nie można się doczekać, dostaje się brudną, wymiętą, nieczytelną (dziesiąta kopia przez fioletową kalkę) i zwykle nieaktualną, bo po godzinie niewiele potraw można jeszcze zamówić. W jednej z limanowskich kawiarń piwo w puszkach podano ciepłe. Tłumaczono, że przechowuje się je w piwnicy, ale chyba ta piwnica nie jest zbyt chłodna albo piwo krótko w niej stało. To samo z pepsi-colą, chociaż pepsi i coca-cola muszą być chłodzone, inaczej nawet szkodzą. Wiem, że wytwórnie zobowiązują sprzedających do przechowywania tych napojów w chłodzie. O ile pamiętam, było to zawarowane również przy udzielaniu Polsce licencji.

Uważam też, że w regionie turystycznym, jakim jest województwo nowosądeckie, należałoby (może w ramach nowego „sądeckiego eksperymentu"?) zlikwidować zakaz podawania alkoholi w kawiarniach i restauracjach przed godziną trzynastą. Byłem świadkiem, jak kelnerka próbowała — bez skutku, co mnie nie dziwiło — wytłumaczyć Francuzom, że nie mogą wypić do kawy szampana.

W ogóle czas najwyższy rozwiązać ogólnopolski problem, szczególnie istotny dla województwa nowosądeckiego: gdzie przyjmować gości, zwłaszcza zagranicznych, aby mogli zjeść i wypić w odpowiednich — po prostu normalnych — warunkach. Jak zapewnić im taki poziom obsługi, by chcieli odwiedzać i Nowosądeckie, i Polskę, zostawiać tutaj dewizy i namawiać przyjaciół do spędzenia wakacji w Polsce.

R.H.

(nazwisko i adres znane redakcji)

mi stopnia podstawowego i czują się jak posłowie do wojewódzkich parlamentów. Radni samorządów podstawowych winni uczestniczyć w samorządach wyższych szczebli.

Po wybraniu samorządu lokalnego pozostaje kwestia jego stosunku do administracji. Na szczeblu podstawowym samorząd winien wykonywać czynności administracyjne przez wybranych naczelników. Obecnie administracja państwowa wymaga wysokiej fachowości i kompetencji. Cały ciężar wykonywania funkcji administracyjnych winien spoczywać na powiatach, gdzie można zgromadzić fachowców. Wojewoda jako przedstawiciel rządu oraz naczelnik powiatu jako przedstawiciel wojewody winni — oprócz pełnienia swoich funkcji — zajmować się działaniem samorządów tego szczebla i pozostawać pod kontrolą samorządu. Jeszcze trochę, a będziemy urządzać „łapanki" na stanowiska naczelników, których obarczamy odpowiedzialnością za kondycję gospdarczą terenu, nie dając im żadnych uprawnień w tym zakresie.

Jak wyłaniać samorządy? Zawsze uważałem, że podziały polityczne w samorządach nie mają znaczenia dla pracy tych organów. Dobro społeczności miejskiej czy wiejskiej jest jedynym dobrem niezależnie od przekonań politycznych. Bardziej niebezpieczne są podziały rodzinne i zawodowe (czyli grupy nacisku reprezentujące wyłącznie swoje interesy). Ani radom narodowym, ani PZPR nie wyszło na dobre to, że dominującą rolę powierzono radnym partyjnym. Wybory do samorządów powinny być wolne, bo tylko w ten sposób można wyłonić osoby cieszące się największym zaufaniem. Samorząd podstawowy powinien być ciałem niezbyt licznym, a jego członkowie — działać społecznie.

Sprawnie działające państwo winno zająć się problemami centralnymi, samorządowi pozostawić sprawy lokalne, a gospodarkę przekazać w ręce specjalistów, dokonując przemian w formach własności. Administrując państwem ponosić trzeba wydatki na wojsko, zapewnienie bezpieczeństwa, wymiar sprawiedliwości, powszechne szkolnictwo, opiekę i pomoc lekarską, kulturę, a także na utrzymanie urzędników. Środki na ten cel powinny pochodzić z podatków tak od osób prawnych, jak i fizycznych.

Do spraw lokalnych powierzonych samorządom powinno należeć budownictwo mieszkaniowe, handel, usługi, komunikacja czyli — wszystko to, co pozwala człowiekowi żyć w normalnych warunkach i wydawać zarobione pieniądze. Samorząd winien realizować te cele różnymi środkami, a więc poprzez system zezwoleń na działalność zakładów prywatnych, spółdzielczych i państwowych, z wyraźnymi obciążeniami na takie cele, jak ochrona środowiska, wznoszenie obiektów szkolnych i publicznej użyteczności. Drugim środkiem byłaby własna działalność gospodarcza wynikająca z zarządzania mieniem komunalnym, a więc pomnażanie swego stanu posiadania poprzez inwestowanie, sprzedaż i zysk. Do tej pory przedsiębiorstwa komunalne kojarzą się ze stratami i dotacjami. Budując mieszkania swoim przedsiębiorstwem, trzeba te mieszkania sprzedać z zyskiem i traktować jako dobro materialne, a nie socjalne. Trzeba szukać źródeł dochodu, aby pokryć wydatki na remonty szkół, ośrodków zdrowia, utrzymanie infrastruktury miejskiej.

Na pewno nie wszystkie samorządy na siebie zapracują. Będą więc miasta i gminy o różnym stopniu zamożności, a nawet bogate i biedne. Nie widzę w tym zróżnicowaniu niczego złego. Uważam, że obecny system dotacji jest deprawujący, gdyż wzmacnia niegospodarnych, odbierając środki najlepszym. Zawsze też byłem przeciwny dopłatom do cen usług turystycznych, a więc Wojewódzkiemu Funduszowi Turystyki i Wypoczynku. Uchwała WRN w tej sprawie wykazała, w jak arogancki sposób można się nie liczyć z samorządem lokalnym. Nikt nie zapytał, czy chcemy być uszczęśliwieni na siłę, a radni wojewódzcy nie wyjaśnili powodów wprowadzenia tego podatku. WRN naruszyła Konstytucję, która dozwala wprowadzenie powszechnych podatków wyłącznie w formie ustawy. Takie stanowisko zajęła również prof. Ewa Łętowska. Zwolennicy tego podatku wymienią zaraz, ile to zbudowano za pieniądze zgromadzone na tym funduszu. A ja nie lubię, aby WRN robiła łaskę naszemu miastu, bo jeśli są to pieniądze z naszego samorządu, to powinniśmy je dostać bez drogi okrężnej. Po co stwarzać fikcję, że zbieramy środki na turystykę, gdy faktycznie łatamy tylko dziurawy budżet? Podział tego funduszu miał być konsultowany z prezydiami rad narodowych stopnia podstawowego, ale w naszym przypadku konsultacja taka nie miała jeszcze miejsca. Uważam, że fundusze na rozwój turystyki mogą pochodzić z podatków pobieranych od osób fizycznych i prawnych prowadzących usługi turystyczne na rzecz samorządu lokalnego.

Kończąc swoją wypowiedź, **chciałbym przestrzec tych optymistów, którzy w nowych wyborach upatrują środek na natychmiastowe odrodzenie samorządności lokalnej. W obecnym stanie prawnym aktywność radnych natrafia na ścianę niemożności.** Należy więc jednocześnie budować samorząd od dołu i reformować administrację (w tym podział trójstopniowy) od góry. Jeśli tak się nie stanie, to wydaje mi się, że „całą parą pójdzie w gwizdek", a parę tę trzeba koniecznie wykorzystać zgodnie z przeznaczeniem.

ROMAN KOSTANECKI

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

dem od setek innych parków w Polsce. Coś tam jest, ale nie więcej niż gdzie indziej. Żeby jakieś wymyślne stawy z łabędziami, żeby fontanny, żeby karuzele, żeby przynajmniej jakiś smak Disneylandu dał się odczuć — nic! Zwykła przeciętność.

Córka właśnie wróciła z Belgii i przywiozła prospekt dziecięcego miasteczka „Walibi", położonego dwadzieścia kilometrów od Brukseli. Czegóż tam nie ma? Czarodziejskie groty i podziemne tunele, pałace Ali Baby i japońskie pagody, zminiaturyzowane centra kosmonautyki i podwodne koralowce. Wymyślne czarodziejskie koła, baseny z rurami do spływu z wieży, sztuczne falę, prawdziwe foki.

Ja wiem, że nie stać nas na to wszystko, w takiej skali, ale stać nas na znacznie więcej, niż to, co oferuje Rabka.

A co oferuje?

Zbiory rzeźby i malarstwa ludowego z terenu Karpat, seanse filmowe w jedynym kinie „Śnieżka", przedstawienia w Teatrze „Rabcio-Zdrowotek" (to pierwszy tytuł do chwały, że ten Teatr tutaj trwa, mimo iż ma fatalne warunki lokalowe i nic się nie zmieniło, jeśli chodzi o remont przyznanej willi opodal głównego deptaka). Dalej mamy bibliotekę mieszczącą się w prywatnym budynku, kilka szlaków turystycznych, muszlę koncertową i kilka budek z lodami.

A park? — powie oburzony rabczanin. No właśnie, cóż jest w tym parku? Miasteczko komunikacyjne, wypożyczalnia rowerów, i kilka huśtawek tudzież piaskownic. Ta potężna enklawa zieleni w centrum uzdrowiska przypomina raczej sanatoriuń pod klepsydrą, miejsce wypoczynku dla szacownych emerytów i rencistów, niż królestwo dziecięcych snów.

A co gorsze, miejscowa władza jest przeświadczona, iż to jest właśnie TO, co być powinno. I z obrzydzeniem wspomina zuchwalstwo prywatnego biznesmena, który chciał ów park przekształcić w lunapark, na własny zresztą koszt. Wydzielono mu „za karę", z dala od centrum uzdrowiska, za torami kolejowymi, kawałątek ziemi, na której w ciągu kilkunastu miesięcy wyrosły salony gier automatycznych i elektryczne samochodziki, gabinety śmiechu i karuzele, kawiarenka i jakieś zwierzaki — wszystko dosłownie jedno na drugim, z gniotącym się wzajemnie tłumem dzieci, dla których pojawiła się pierwsza, prawdziwa atrakcja.

Przerwijmy teraz na moment ten wątek, by udać się na naradę kierowników 35 kolonii z inspektorem oświaty i wychowania w Rabce (o której wspominałem w

STEFAN CIEPŁY

Rabka — miasto dzieci czy emerytów?

pierwszym odcinku), by zorientować się, czym żyje lokalna administracja.

Zaczęło się od wystąpienia Komendanta MO, który poinformował, że dzieci nie powinny nawet zbliżać się do strumyków, z których woda nie nadaje się do mycia ulic.

Rabka nie posiada otwartego, dostępnego dla wszystkich basenu kąpielowego, nie mówiąc o krytym. Owszem, jest basen na terenie Śląskiego Ośrodka Rehabilitacji Dzieci, ale tylko dla kuracjuszy (i tak być powinno); owszem, buduje basen na podobnej zasadzie Instytut Matki i Dziecka; owszem, jest basen w zasadzie otwarty — 6 kilometrów od Rabki, w ośrodku wypoczynkowym Huty im. Lenina. Miasto także przebudowuje swój basen, ale teren został tak wybrany, że gdy się rozłoży cztery koce, to już na piąty nie będzie miejsca. Nadzieja więc w urządzeniu kanalizacji w Rabce i oczyszczeniu strumyków.

Zapytano jeszcze, kiedy będzie czynny przejazd przez most na ul. Sądeckiej, bo część ośrodków kolonijnych z Rabki-Zarytego jest odcięta od centrum uzdrowiska i musi korzystać z 20-kilometrowego objazdu, na co usłyszano to, co zawsze usłyszeć można. Przymierzano się do remontu mostu od kwietnia, miał być gotowy na 6 lipca, nie wiadomo, czy budowlani zdążą przed sierpniem. Można jedynie pogratulować wspaniale wybranego terminu remontu — w szczycie sezonu. Uzgodniono, że milicja przymruży oko na nielegalne przejazdy wozów zaopatrzeniowych przez rzekę, chociaż właściwie nie jestem pewien, czy komendant ustąpił energicznej pani z Kwidzynia, która chciała na nim taką zgodę wymóc.

Potem wystąpił przedstawiciel „Społem" informując, że brakuje cukru, wprawdzie nadszedł wagon z RFN, ale starczy go jedynie pod warunkiem pozbawienia dostaw dla rabczan. Nie ma też ryżu, nie powinno natomiast brakować serów i mleka, pieczywa i ryb. Dobre i to.

Z kolei prezes GS poinformował, że z mięsem jest tak, jak w całym kraju. Zapasy są na trzy dni, a potem będzie albo nie będzie, bo „Igloopol" nie przyjmuje zamówień.

W dalszym ciągu przedstawicielka WPHW poinformowała, że brakuje kredek, farb i białych kartonów, jest natomiast papier pakowy, a co się tyczy papieru toaletowego, to na całe dwa miesiące otrzymała 64 worki, czyli wypada po rolce na 15 „twarzy" w okresie dwóch miesięcy. Inspektor przypomniał jednak, że to pula wyłącznie na wypadek awarii, gdyż Rabka informowała, że papier toaletowy należy przywieźć ze sobą...

Następnie pani z Miejskiego Ośrodka Kultury przedstawiła program imprez w Muszli Koncertowej od 15 do 23 lipca. Punktem kulminacyjnym programu okazał się być korowód uliczny w dniu 15 lipca, do którego kierownicy kolonii powinni przygotować dzieci. Nadto zapowiedziała na czwartki i soboty dyskoteki w muszli (po 200 zł wstęp). Zaprosiła też zebranych do teatru, kina i biblioteki oraz do muzeum, gdzie 16 i 30 lipca odbędą się koncerty organowe.

Z kolei przedstawiciele Międzyszkolnego Ośrodka Sportu oraz Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji zapowiedzieli spartakiadę kolonijną w lekkiej atletyce i piłce nożnej, oraz czwórmecz z udziałem drużyn zagranicznych, czyli kolonistów z NRD, ZSRR i CSRS, bawiących w tym roku na terenie uzdrowiska. Przy okazji poinformowano, że wypożyczenie roweru kosztuje 250 zł za godzinę, że przejażdżka meleksem po parku kosztuje 100 zł od dziecka i że basen w Ośrodku Huty im. Lenina jest nieczynny, bo właśnie wykłada się go płytkami ceramicznymi.

Wreszcie GOPR zaoferował prelekcje ze slajdami (za 3800 zł) na temat ratownictwa wysokogórskiego i pokaz sprzętu ratowniczego, co wszyscy kierownicy kolonii z ożywieniem odnotowali.

Naradę zakończył wykład mgr. **Stanisława Jaworskiego** z nowosądeckiego Kuratorium na temat zadań wychowawczych na koloniach.

Ten obraz narady jest odrobinę ironiczny. W niczym jednak nie chcę umniejszyć wysiłku, jaki cała administracja terenowa musi włożyć w organizację wypoczynku kolonijnego. Takie są dziś problemy, taka skala możliwości i trzeba raczej wyrazić słowa szacunku pod adresem ludzi, którym społecznie chce się na przykład organizować „spartakiadę, mając zaledwie parę groszy na symboliczne nagrody.

Płace dla personelu kolonijnego też nie uległy rewelacyjnej korekcie. Dyplomowany nauczyciel może dostać za 26 dni pracy na koloniach od 24 do 45 tys. zł, a kucharka od 20 do 35 tys. zł. Pomoc kuchenna, o którą najtrudniej, otrzymuje od 20 do 32 tys. zł, a zaopatrzeniowiec od 21 do 38 tys. zł. Gdyby zakłady pracy trzymały się tych stawek, ustalonych przez Ministerstwo Edukacji Narodowej, to zapewne kolonie nie odbywałyby się nigdzie.

Nieco lepiej przedstawia się natomiast stawka żywieniowa w tym roku, pierwotnie ustalona na 500 zł, a następnie skorygowana na 900 do 1400 zł.

Z próżnego nalać nie sposób. Inna jest jednak sytuacja, gdy administracja sama paprze szanse, które pchają się jej do rąk. I za taki właśnie wypadek uważam niekorzystanie przez władze Rabki z oferty urządzenia lunaparku w parku miejskim. Można było wejść do spółki z prywatnym właścicielem; można było zatem współuczestniczyć w zyskach; można było wyegzekwować pewne rygory ekologiczne, ustalić pewne normy hałasu, zasady regeneracji zieleni — ale wypchnięcie całego przedsięwzięcia poza strefę A jest nonsensem.

Wicenaczelnik wspólnie z sekretarzem Komitetu Miejskiego PZPR, **Markiem Oczkowiczem** usiłowali mnie przekonać, że Rabka jest uzdrowiskiem, a więc ośrodkiem leczniczym, w którym powinien panować spokój, a lunapark — owszem — potrzebny, lecz powinien być gdzieś na obrzeżu.

Cała ta argumentacja budzi wątpliwości. Dzieci, które przyjeżdżają do Rabki na leczenie wymagają spokoju, przebywają w zamkniętych ośrodkach sanatoryjnych, dysponujących własną bazą wypoczynkową, własnym terenem zagospodarowanym na miarę potrzeb. I to wytrąca z ręki pierwszy kontrargument. Natomiast w wypadku maluchów bawiących na koloniach, czy w dziesiątkach prywatnych pensjonatów, cała ta argumentacja nie ma sensu. Dla dziecka zdrowie nie ma nic wspólnego ze spokojem. Dziecko wymaga ruchu, zabawy, radości życia. A tu się nagle przykłada kryteria emerytalne. A może partykularne? Nie wiem, nie rozumiem. Może brakuje wyobraźni?

Piszą do nas

● *W niczym nie przesadziliście, chwaląc kilka tygodni temu ajencyjną stację benzynową w Piwnicznej. Panowie Mirek i Palonkowie wyróżniają się uprzejmością wobec klientów, zaś różnorodność akcesoriów samochodowych (i innych), które można tam kupić, świadczy dobrze o zdolnościach zaopatrzeniowych ajenta. W kraju, w którym ciągle czegoś brakuje, jest to zaskakujące, że jednak można stanąć na wysokości zadania i zatroszczyć się o zadowolenie klientów* — informuje **Bogumiła Kałużny** z Nowego Sącza.

● *„Prawdziwa Sądeczanka"* (szkoda że anonimowa) upomina się u radnych o zamknięcie ul. Młyńskiej w Nowym Sączu:

Ta krótka i wąska uliczka powinna być zamknięta dla ruchu kołowego ze względu na chorych przebywających w szpitalu, a także dla bezpieczeństwa pieszych. Ruch samochodowy jest tutaj dwukierunkowy, stężenie spalin znaczne, kierowcy nie ograniczają prędkości. Po opadach atmosferycznych powstają duże kałuże, jak fontanny tryskające spod kół na przechodniów (...) Nie będę podpowiadała rozwiązania, bo jest ich wiele, a Wy, mądre głowy, znajdźcie właściwe.

● Znów w sobotę (22 lipca) okazało się, że j e d e n samochód zaopatruje wszystkie sklepy sądeckie w masło i twaróg. Po telefonicznym sygnale od Czytelnika (nazwisko do wiadomości redakcji) sprawdziliśmy, jak wygląda sytuacja w domu handlowym „Lach". O godz. 8.30 było tylko „masło" śmietankowe, sera białego „jeszcze nie dowieźli". Chwilę potem dwaj panowie wtoczyli do sklepu wózek pełen masła „extra", przy okazji wyjaśnili, że najpierw wożą masło, a później dostarczą twaróg. Przysłuchująca się klientka przytomnie zapytała, dlaczego niby ma ona dwukrotnie przychodzić do sklepu?

Wciąż nos jest dla tabakiery, a nie tabakiera dla nosa. Akurat twarogu nie brakuje, a jednak kolejny raz stwierdzamy, że ani kierownictwo mleczarni, ani prezesi „Społem" nie potrafią tego „problemu" rozwiązać. Co stoi na przeszkodzie, by od rana zarówno masło jak i twaróg znajdowały się w sklepach?

Sądzimy, że bez interwencji Wydziału Handlu się nie obejdzie. Dopominamy się tej interwencji, ludzie są dostatecznie umęczeni brakiem towarów, więc niech przynajmniej to, co jest, trafia do sklepów w porę.

A przy okazji pytanie: kto zdecydował, że sprzedaż cukru musi odbywać się dopiero o określonej godzinie? Skoro stoi kolejka i gołym okiem widać, że cukru wystarczy tylko dla czekających, to w imię jakich racji każe się im stać trzy godziny? Argument, że tak życzą sobie załogi zakładów pracy, jest miałki, bo przecież ten kto przyjdzie po godz. 15 i tak znajdzie się na końcu kolejki, a więc zakupu nie zdoła dokonać. Uwłacza ludzkiej godności ta bezmyślna mitręga kolejkowa — jeżeli są kupujący i jest towar, należy sprzedaż prowadzić.

Jeśli ktoś ma argumenty przeciw temu rozumowaniu niech je publicznie wyłoży.

● W odpowiedzi na notatkę z 9 lipca prezes Grodzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej, **Andrzej Żelasko**, wyjaśnia:

Koszenie trawy w ZAB-3 wykonywane jest przez grupę konserwatorów na obszarze ok. 10 ha. Teren ten obejmuje całe osiedle Gołąbkowice, Westerplatte i część Barskiego. W okresie kwietnia i maja wykonano kompleksowe koszenie tych terenów. W tym miejscu chcemy zaznaczyć, że ze względu na dużą ilość opadów deszczu w okresie wiosny okres wegetacji trawy jest bardzo szybki, w związku z tym należy częściej ją kosić. W poprzednich latach konserwacja trawy wymagała trzykrotnego koszenia, w br. pięciokrotnego. Do sezonu przygotowano trzy sprawne kosiarki, które powinny wystarczyć do wykonania konserwacji zieleni. Kosiarki po kilku godzinach pracy wymagały remontów kapitalnych, ze względu na wyeksploatowanie się części. Brak części zamiennych spowodował wyłączenie dwóch kosiarek z eksploatacji. Do dalszych prac użyto kos, co spowodowało opóźnienie w koszeniu trawy. W lipcu po wielu staraniach zakupiono kosiarki, które po tygodniu pracy zostały odwiezione do naprawy gwarancyjnej.

Malowanie ławek i konserwację urządzeń zabawowych przeprowadzamy corocznie w miarę posiadanego materiału. Obecnie prace te ulegną opóźnieniu ze względu na trudności w zakupie tarcicy. Informujemy, że otrzymaliśmy część zamówionych listew do ławek i małej architektury. Prace te zakończymy do końca lipca.

Wymiana uszkodzonych acekolowych płyt osłonowych loggii w tej chwili jest niemożliwa, ze względu na brak odpowiedniego materiału.

Sformułowania dotyczące ciągle rosnących czynszów za lokale nie mają pokrycia. Faktycznie od 1 kwietnia br. dokonaliśmy minimalnego zwiększenia opłat czynszowych, co nie powinno wymagać wyjaśnienia ze względu na generalny wzrost cen co podraża eksploatację mieszkań.

Środki z funduszu remontowego w ok. 70 proc. przeznaczone są na remonty i konserwacje dachów oraz usuwanie przecieków przez ściany szczytowe. Wymiana drewnianej wykładziny filarków międzyokiennych na płaty acekolowe wykonana była w 1986 r. Spółdzielnia pokrywała tylko 50 proc. kosztów. Prace te były konieczne ze względu na stan techniczny okładzin wykonanych z drewna. Niewykonanie tych robót spowodowałoby przecieki i przemarzanie mieszkań.

Nie możemy zgodzić się ze stwierdzeniem pani Jadwigi G., że administracja ignoruje sygnały mieszkańców tyczące zagospodarowania osiedla. Wszelkie uwagi i zgłoszenia są wykonywane w miarę posiadania środków i materiałów. Nie jest tajemnicą, że ciągle borykamy się z różnego rodzaju trudnościami, co ma odbicie w tematyce zebrań Rady Osiedla. My ze swej strony proponujemy Pani jako członkowi Spółdzielni udział w naszych zebraniach. Przypuszczamy, że bezpośrednie uczestnictwo w zarządzaniu osiedlem pozwoli na rzetelną ocenę pracy administracji.

● Pan **W.B.** z gminy krynickiej (nazwisko i adres znane redakcji) zwraca naszą uwagę na rażącą niegospodarność Państwowego Ośrodka Hodowli Zarodowej w Tyliczu:

Ośrodek ma pole we wsi Czyrna. Dwa lata temu wysiano tam len — do dziś stoi w stertach. Wysiano też w 1988 roku — do dziś częściowo nie zebrany, przyorany. W tym roku — pole uprawiono, wsiano w nie wapno, nawozy i... bujnie plenią się tam chwasty. Rolnicy z Czyrnej patrzą i psioczą. Oni muszą dobrze się nabiegać, aby kupić wapno czy nawozy, a POHZ te cenne środki marnotrawi. Oni chętnie wydzierżawiliby to pole i dobrze wykorzystali, a POHZ daje przykład niegospodarności.

O ile mi wiadomo, interesował się tym już prokurator, ale kierownictwo Ośrodka tłumaczyło, że... uprawia len nie na włókno, lecz na nasiona. To tak jakby chłop wyjaśniał, że trzyma krowę nie dla mleka, lecz dla... obornika.

IRENA FRĄCKOWIAK

SIERPIEŃ 1939

Rozprażona Warszawa mocno dawała się we znaki, zaś nie do pojęcia było chodzić do biura bez pończoch i choćby krótkich rękawów w sukience. Na szczęście pokoje mojej firmy były przestronne i wysokie, zaś okien nie projektowano z myślą o klimacie śródziemnomorskim. Mogliśmy więc, po przejściu upalną ulicą, pracować w chłodzie. Było to tym cenniejsze, że roboty wciąż przybywało. Z jednej strony nie w ciemię bici klienci znacznie zwiększali zakupy. Z drugiej „cicha" mobilizacja wyrwała z zespołu kilku młodych kolegów. Do korespondencji z francuskimi patronami dołożono mi więc część towarowych kartotek. Bóg jeden wie co na nich uwieczniłam, bo zanim główny księgowy firm zrobił pierwszą kontrolę, wybuchła wojna. Potem niemiecki komisarz kazał wszystko spakować i wysłać na makulaturę.

W ostatnim miesiącu pokoju Polska żyła jak gdyby w dwóch nastrojach. Prasa i radio już nie kryły niebezpieczeństwa, starając się umacniać „ducha". Z niezwykłą pompą obchodzono w Krakowie 25 rocznicę powstania Legionów Piłsudskiego, we Lwowie Święto Beliniaków, na Śląsku Odprawę Sokolą... Nie zapomniano nawet o 5 rocznicy powstania Związku Podoficerów Rezerwy w Stanie Spoczynku, o którego istnieniu mało kto wiedział. W rocznicowych rytuałach uczestniczyli na przemian prezydent i marszałek Rydz-Śmigły. W niektórych spotykano także skromną, żyjącą na uboczu panią Aleksandrę Piłsudską.

Z „drugim nastrojem" miał do czynienia każdy, kogo po pracy lub zamiast niej stać było na „używanie życia". Przepełnione kawiarnie i restauracje, zatłoczona „Legia" — jedyny otwarty basen w stolicy, tłumy na trybunach Pucharu Davisa i konkursów hippicznych... Kina, teatry, teatrzyki, nawet filharmonia miały nieprawdopodobne powodzenie. W 1938 roku warszawiacy kupili 2 mln 275 tysięcy biletów do teatru i 57 mln 165 tys. biletów do kina; tych ostatnich o 8 mln więcej niż w 1937 r.! Latem 1939 roku kupno biletu na atrakcyjny spektakl było problemem.

Z drugim nastrojem mieliśmy również do czynienia w życiu gospodarczym kraju. W Gdyni obroty portu osiągnęły rekordową wysokość. W lipcu 1939 roku cumowało u nabrzeży naszego okna na świat 1171 statków, łącznej pojemności 1 mln 260 tys. 455 ton. W kolejności bander były to jednostki: szwedzkie, polskie (175 statków), fińskie, duńskie, norweskie, włoskie, angielskie, niemieckie, łotewskie i amerykańskie.

W Centralnym Okręgu Przemysłowym ruch budowlany przechodził wszelkie oczekiwania. Spekulacja działkami osiągnęła takie rozmiary, że np. Rada Miejska w Sandomierzu musiała ustalić cenę metra kwadratowego od 5 do 12 złotych i zagrozić wysokimi karami za jej przekroczenie.

Jeszcze jedna dziedzina cieszyła się wyjątkowym rozkwitem: złodziejstwo. Gazety donosiły, że po długich obserwacjach wykryto i zlikwidowano w Warszawie centralę narzędzi złodziejskich, przemycanych z Niemiec. Były to komplety narzędzi i przedmiotów do charakteryzacji, nadchodzące drogą przez Będzin i ze stołecznego składu rozprowadzane po całym kraju. Sędzia, przygotowujący materiał do procesu, miał duże trudności z ustaleniem wartości niecodziennego majątku.

Rozkwitał także sport. Mikroskopijnego Ignacego Tłoczyńskiego, o którym mówiono, że przed wyjściem na kort każdy jego przeciwnik czuł się zwycięzcą, zaś schodził pokonany — sklasyfikowano na III miejscu w Europie. Nasza narodowa jedenastka rozłożyła zawodową drużynę Węgier w stosunku 4 do 2. Po tej pierwszej wygranej w regularnych potyczkach z bratankiem, wybieraliśmy się pełni optymizmu na mecze z Bułgarią i Jugosławią. Miały się odbyć 1 i 4 września...

Tymczasem pod powierzchnią rozrywek i sukcesów drążyła myśl o, jakże już prawdopodobnej, wojnie. Na Fundusz Obrony Narodowej płynęły dary Polonii. 560 dolarów przekazali mieszkańcy małego Brantford w Kanadzie; 56 110 franków redakcja „Wiarusa Polskiego" we Francji — ogółem Polacy z Francji ofiarowali milion franków. Związek Narodowy Polski w USA przesłał na dozbrojenie armii ponad 180 tysięcy dolarów. Jakby w dowód wdzięczności otwarto w Warszawie pierwszą część Domu Polaków z zagranicy, budowanego wspólnie przez Polonię i Polskę.

W sierpniu na pierwszych i drugich tak zwanych depeszowych stronach gazet roiło się od wiadomości o Niemczech i Niemcach. Codziennie pisano o szpiegach, dywersantach, chomikowaniu srebrnego i niklowego bilonu. W Gdańsku aresztowano polskich urzędników, na Opolszczyźnie zamykano polskie szkoły i przedsiębiorstwa, w Olsztynie konfiskowano polską prasę, przeprowadzano rewizje w redakcjach i u wydawców, w Bytomiu napadano na Polaków. W całej Rzeszy przestano doręczać przesyłki adresowane po polsku. Do takich informacji przywykliśmy i oko prześlizgiwało się po nich prawie bez wrażenia.

Ale 22 sierpnia przyszła TA WIADOMOŚĆ. Na drugiej stronie półurzędowej „Gazety Polskiej", u dołu środkowej szpalty Polska Agencja Telegraficzna (odpowiednik dzisiejszej PAP) donosiła: *Rząd Rzeszy i rząd sowiecki doszły do porozumienia w sprawie zawarcia paktu o nieagresji. Minister spraw zagranicznych Rzeszy Ribbentrop przybędzie do Moskwy w środę 23 sierpnia celem zakończenia tych rokowań.*

Odtąd wypadki potoczyły się jak lawina. Premierzy przerwali urlopy. Rządy zwołały nadzwyczajne posiedzenia. Ambasadorowie konferowali z szefami państw. Ministrowie spraw wojskowych zarządzali gotowość sił zbrojnych. Zewsząd płynęły apele o ratowaniu pokoju. Jednak i w tym groźnie rozchybotanym, pełnym gorączej wrzawy świecie dosłyszano kwilenie ważnego niemowlęcia. Druga w sukcesji holenderskiego tronu, nowo narodzona księżniczka Irena zajęła sporo miejsca również w polskich *newsach*.

24 sierpnia PAT informowała: *Wojskowe delegacje angielska i francuska wyjeżdżają do Moskwy via Leningrad dzisiaj wieczorem lub jutro*. 26 ogłoszono na pierwszych stronach gazet o podpisaniu sojuszu polsko-angielskiego. 28 pod tytułem „Cała Polska kopie rowy lotnicze" można było przeczytać, że *62-letni starzec z Bydgoszczy zasłabł i zmarł na posterunku ofiarnej służby obywatelskiej*...

W środę 30 sierpnia o brzasku ogłoszono przez radio pierwszy próbny alarm lotniczy dla Warszawy. Jako komendantka Obrony Przeciwlotniczej w bloku zerwałam się z tapczanu, na którym spałam w ubraniu i przy włączonym odbiorniku. Zgodnie z instrukcją kazałam dozorcy otworzyć bramę, żeby w czasie ataku z powietrza przechodnie mogli schronić się przed odłamkami bomb.

Od wybuchu II wojny światowej dzieliły nas już tylko godziny.

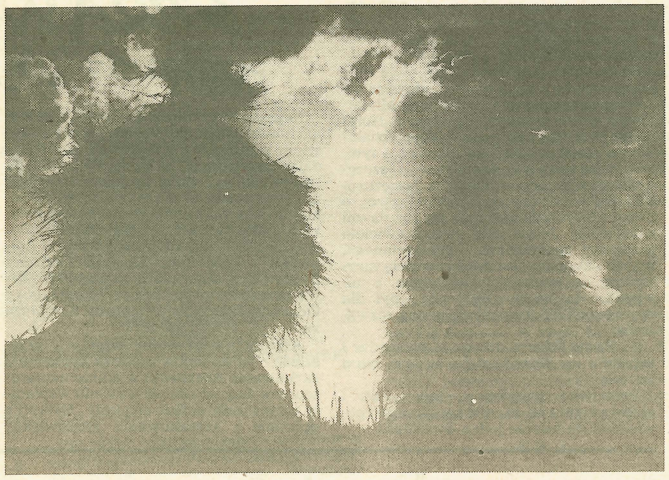

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Fantazja Artura U.

Zbliżała się już północ, kiedy Bogdan B. i Paweł C., wychodzący z przyjęcia u znajomych, zostali zaczepieni przez starszego mężczyznę, który powiadomił ich, że na pobliskim parkingu jakiś młody człowiek dokonuje włamań do stojących tam samochodów. Młodzieńcy informacją tą zainteresowali się. Zaczęli obserwować parking i spostrzegli, iż w jednym z samochodów ktoś manipuluje przy stacyjce zapłonowej. Podeszli więc z dwóch stron do samochodu i od osoby znajdującej się w pojeździe zażądali dowodu osobistego. Ów człowiek był jednak w takim stanie, iż nie bardzo mógł zrozumieć sens pytania, a po wyciągnięciu z samochodu z trudem utrzymywał pozycję pionową. O jego przestępczych zamiarach świadczyły jednak zdemolowane i uszkodzone samochody. Złodzieja wzięto pod szczególną opiekę i wezwano milicję.

Zatrzymanym okazał się Artur U. którego gorlicy funkcjonariusze poszukiwali już od kilku dni w związku z ujawnieniem faktu, iż jest on sprawcą przestępstwa znacznie poważniejszego.

Działo się to w dzień po pobraniu wypłaty. Artur U. zarządził sobie dzień „frajerski" i do pracy nie poszedł. Pospał natomiast do woli i w godzinach przedpołudniowych wyruszył do miasta, by poszukać odpowiedniego towarzystwa. Spotkał bliżej nieznanego Staszka, który w Gorlicach przebywał na delegacji służbowej i który w tym dniu miał stosunek do pracy taki sam, jak Artur U. Ten ostatni, będąc właścicielem dość wypchanego portfela, zaprosił kolegę do „Ratuszowej". Tu, nie spiesząc się, skonsumowali trzy wina. Ponieważ ilość ta była niewystarczająca w stosunku do ich możliwości, przeto udali się dalej w rejs. Wstąpili do „Hotelowej", gdzie spotkali wspólnych znajomych. Tu również Artur poczuł się w obowiązku, by coś zadysponować u kelnera. Świat stawał się coraz piękniejszy, człowiekowi chciało się naprawdę żyć. Później nasz bohater znalazł się jeszcze w kawiarni „Stokrotka", gdzie przysiadł się do jakiegoś towarzystwa, które oczywiście też nie próżnowało...

Ponieważ pora stała się dość późna, Artur U. postanowił wrócić w domowe pielesze. Gdy jednak znalazł się na ulicy, spotkał swoją byłą narzeczoną, która — choć oficjalnie stała się dziewczyną kogoś innego — sympatii do Artura nie utraciła. Widok byłego amanta ucieszył ją bardzo. Poczęła więc opowiadać o tym, co zdarzyło się w jej życiu ważnego, powtarzać zasłyszane plotki, o różnych znajomych. Artur U. zmienił plany i zaprosił byłą narzeczoną do restauracji „Gorlicka". Tam jednak odbywał się dancing i miejsc wolnych nie było. W tej sytuacji Artur U. zakupił jakiś prowiant i z narzeczoną usiadł na ławeczce, by nadal wieść przyjazny dyskurs. Pech chciał, że w tym właśnie czasie z restauracji wyszedł pewien pan, w wieku średnim, któremu krok plątał się zdecydowanie i z tego chyba powodu pan ów usiadł na przylegającym do restauracji skwerku, by na łonie natury łatwiej i szybciej dojść do siebie. Artur na ów widok mniej zaczął zwracać uwagi na paplaninę dziewczęcia, które właśnie opowiadało jak to dobrze jest na „spadzie" czyli ucieczce z domu, i rzekł: — *Patrz, to jest facet, który ma dużo szmalu*. A potem dodał, że faceta tego warto „skubnąć". Dziewczę, przestraszone niemiłą perspektywą bójki, a może widoku krwi, poczęło ponoć swemu adoratorowi tę myśl wybijać z głowy. Artur był jednak konsekwentny. Co wymyślił — postanowił zrealizować.

Podszedł do siedzącego mężczyzny i zaoferował mu pomoc w dotarciu do domu. W rzeczywistości poprowadził go w kierunku dogodnym dla siebie — ogródków działkowych. Panienka udała się w tymże samym kierunku. Ten pochód, przerywany co kilka kroków upadkami na ziemię, skończył się tym, że Artur pozwolił swej ofierze na chwilowy odpoczynek, by łatwiej śpiącego obrobić. Ofiara miała jednak silną wolę. Po kilku próbach, zebrawszy się w sobie, podopieczny Artura wstał na równe nogi i wyruszył do domu.

Artur nie mógł pozwolić, by tyle jego trudu poszło na marne. W pośpiechu poderwał się do działania, zalecając przyjaciółce, by spokojnie zaczekała na jego powrót. Dopadł swojej ofiary i najpierw zauważył złotą obrączkę. Postanowił ją sobie przywłaszczyć. Złote kółko nie chciało jednak zejść z palca napadniętego mężczyzny. Od czegóż są mądre pomysły! Artur znalazł odpowiedniej wielkości kamień i przy jego pomocy postanowił grubawy palec pocienić. W trakcie tej operacji polało się trochę krwi, lecz pozytywnego skutku Artur nie uzyskał. Po tym niepowodzeniu począł przeszukiwać kieszenie ofiary i natknął się na portmonetkę, a w niej wcale niezły majątek: 120 amerykańskich dolców i trochę polskiej gotówki. Taka kwota w pełni go usatysfakcjonowała. Porzucił ofiarę. Wrócił do lubej, przed którą pochwalił się zaradnością i tym, jakim jest wprost bogaczem. Luba postawą jego była zbudowana. Pozwoliła się zaprosić do leżącego nie opodal parku, gdzie nastąpił dalszy ciąg miłosnych wrażeń, gdy tymczasem ofiara napadu z trudem dochodziła do siebie na działkowej dróżce. Zakochani o pieniądzach dużo nie gadali — panna otrzymała parę tysięcy złotych i to ją zadowoliło.

Napadnięty przez jakiś czas samodzielnie próbował ustalić sprawcę napadu, lecz po kilku bezowocnych dniach postanowił zgłosić o wydarzeniu do gorlickiego RUSW.

Tymczasem Artur U. przystąpił do wymiany twardej waluty na polskie obiegowe. Setkę, po dość przystępnej cenie, sprzedał od razu po przyjściu do pracy. Pozostałą część wymienił z cinkciarzem Piotrem pod „Pewexem". W sumie dało mu to kwotę dość pokaźną, za którą mógł nieźle porządzić w gorlickich restauracjach. Kumple byli wdzięczni fundatorowi, dziewczyny patrzyły na niego z uznaniem.

Rodzina panienki, której tak podobał się „spad", podjęła poszukiwania zabłąkaną owieczką. W swych wędrówkach poszukujący dotarli do Artura U. Znaleźli go oczywiście w restauracji, w stanie dość znacznego zamroczenia alkoholowego. Na pytanie o swą lubą odparł, że dla niej gotów jest wytapetować wejście do tejże restauracji banknotami różnej wartości, których miał w kieszeni dość sporo. Zamiaru tego nie zdążył jednak zrealizować — został bowiem aresztowany.

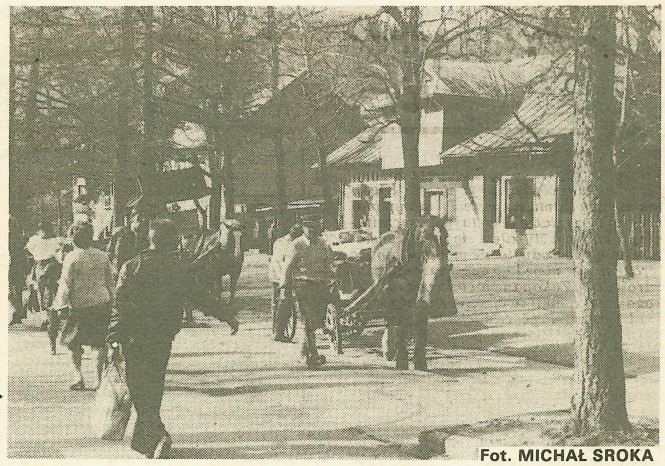

Fot. MICHAŁ SROKA

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

dowy pogłoski o groźbie wycięcia „hektarów lasu", podczas gdy w grę wchodzi tylko „kilka krzewów", argumentował, że roboty budowlane nie zachwieją równowagi ekologicznej i stosunków wodnych na stoku Antałówki, jeśli stoją tam już cztery duże obiekty, rozbudowuje się dom wypoczynkowy Urzędu Rady Ministrów, a zieleń przecież nie usycha. Hotel mógłby zresztą „wymusić" jakieś działania na rzecz miasta, nie mówiąc o tym, że — budowany na Antałówce — oszczędzi tereny zielone w obszarze Jaszczurówka-Bory i tereny na Szymoszkowej, o zwrot których dopominają się już dawni właściciele. Jeden głos przedstawiciela góralskiej społeczności — przekonanego, że jeśli Zakopane jest miejscowością turystyczną, to trzeba stawiać hotele, a nie wpędzać tu na powrót owce — był dla dyrektora TPT propozycją godną rozważenia:

— *Panie Sikora, dawać te pieniądze i jedziemy na Gubałówkę — ja tam mam parcelę!*

Przeciwko zamykaniu stolicy Tatr i sprowadzaniu jej do roli skansensu wypowiedział się jeszcze jeden dyskutant.

ANNA SZOPIŃSKA

SPRAWA „ANTAŁÓWKI"

Negatywnie do ewentualności powstania hotelu ustosunkowali się przede wszystkim mieszkańcy Antałówki, przedkładając interpelację, w której domagali się stanowczo wycofania projektu z realizacji. Veto postawili także miejscowi członkowie Stowarzyszenia Architektów Polskich, radni bezpartyjni, Komitet Osiedlowy, Liga Ochrony Przyrody, Wydział Rolnictwa i Leśnictwa, Komisja Ochrony Środowiska, autor planu zagospodarowania przestrzennego tudzież Towarzystwo Ochrony Zabytków i Ochrony Krajobrazu.

Argumenty tej strony sięgały w przeszłość — aż do bojów doktora Żychonia o zachowanie Antałówki w stanie nienaruszonym. Sugestywność wywodu wspierały przytaczane obficie artykuły „Ustawy o ochronie i kształtowaniu środowiska" prowadzące do konkluzji, że niedopuszczalne jest budowanie w tym miejscu podobnego molocha, niedopuszczalna dalsza likwidacja terenów zielonych w bliskości centrum, które przy złej wentylacji dusi się od spalin i innych wyziewów. Wzmożony ruch kołowy po otwarciu hotelu, konieczność budowy dróg dojazdowych — to jeszcze większe zanieczyszczenia, to dodatkowe obciążenie dla miasta, które nie radzi sobie z istniejącymi problemami. Pytanie, czy stać nas na hotel w sytuacji, gdy nie ma tu oczyszczalni ścieków i przesuwa się termin jej ukończenia, gdy brakuje wody i szwankuje komunikacja — było jak najbardziej zasadne. Przeciwnicy inwestycji formułowali i inne poważne obawy: że hotel „połknie" wodę całej dzielnicy, że Antałówka przestanie być ogólnodostępnym terenem rekreacji, że dojdzie do zachwiania równowagi przyrodniczej i zniszczenia walorów tego obszaru, że nierozważne gospodarowanie termalnym bogactwem grozi zanikiem ciepłych źródeł — wszak wody termalne gromadzą się pod ziemią jakby w systemie naczyń połączonych, a podlegają szczególnej ochronie. Obrońcy krajobrazu ostrzegali, że hotel „przydepcze" górę. Dla gnębionych reumatycznymi i artretycznymi schorzeniami górali realna okazała się też obawa, że ktoś nam „przysiądzie" cieplice i będzie wydzielał dary przyrody. Zadawniona niechęć do „uprzywilejowanych ośrodków" i bunt przeciwko naciskom, przeciwko sposobowi forsowania decyzji opartemu na systemie nieoficjalnych zaleceń dla administracji państwowej — przeważyły w świadomości tego grona wizję roztoczoną przez dyrektora TPT. W całej inwestycji dopatrywano się raczej partykularnych interesów Przedsiębiorstwa niż realnych korzyści dla miasta. Surowej ocenie poddali oponenci efekty dotychczasowej działalności firmy, wypominając nie tylko dewastacje w hotelu „Morskie Oko" i stan basenu. Niepokój o to, co z dawnego Zakopanego zostanie dzieciom i wnukom przewijał się upartym wątkiem w opiniach tej strony.

Pamięć

W sali wystawowej Miejskiej Biblioteki w Gorlicach 3 czerwca br. otwarto wystawę pod hasłem „Aby nie odeszli w mrok zapomnienia". Dedykowano ją pamięci wychowawców i wychowanków tutejszego Gimnazjum im. Marcina Kromera. Eksponaty dużym nakładem pracy zgromadziła **Wanda Kłapkowska** — znana gorlicka działaczka na niwie kultury i muzealnictwa.

W tym samym dniu odbył się zjazd absolwentów Gimnazjum, który przed wojną i w latach wojny związani byli z tą szkołą. Przyjechali z całego kraju, a nawet świata. Całe spotkanie, bardzo wzruszające, nagrali na taśmy wideo, które zabrali do domów — niektórzy aż do Stanów Zjednoczonych.

Wystawa, której bogaty materiał dokumentacyjny nadaje się — moim zdaniem — na publikację książkową, była uzupełnieniem zjazdu. Cały materiał dokumentacyjny pogrupowano tematycznie: „Wrzesień 1939", „Okupacja", „Ruch oporu", „Tajne nauczanie", „Obozy — Martyrologia" i „Armia Polska na Zachodzie".

Oto dla przykładu w gablocie „Wrzesień 1939" znajdujemy liczne zdjęcia grupowe i pojedyncze wychowawców i wychowanków, listę uciekinierów wraz z notatką: *Pociąg ewakuacyjny z uciekinierami z powiatu gorlickiego wyjechał ze stacji kolejowej w Jaśle w dniu 3.XI.1939 r. wieczorem i dojechał do stacji kolejowej Buczacz. Uciekinierzy zostali zakwaterowani w szkole w Buczaczu.*

Obok pamiętnik **Jana Bogdana** — ucznia Gimnazjum w Gorlicach, który brał udział w walkach obronnych jako 17-letni chłopak. Wraz z I Pułkiem Strzelców Podhalańskich w Armii „Karpaty" przeszedł cały szlak aż pod Lwów, gdzie został wzięty do niewoli. Uciekł z transportu. W czasie okupacji pod pseudonimem „Strzała" działał w ruchu oporu — w oddziale AK „Kmicica" w rejonie Ropy. Oto fragment pamiętnika: *Sierpień 1939 rok — w roku szkolnym 1938/39 w wyszkoleniu PW osiągnąłem II stopień, czyli byłem już dość dobrze obeznany z bronią i taktyką wojenną. Wyszkolenie wojskowe nabierało znaczenia w obliczu zagrożenia, jakie zawisło nad krajem. Dawał temu wyraz Józek — gazeciarz głośno wykrzykujący tytuły ochrypłym głosem, biegł po kamienistym rynku Gorlic i sprzedawał gazety. Wakacji nie było, ubraliśmy pewiackie mundury i w lasku nad Popradem obok Starego Sącza obóz już prawdziwie wojskowy. Codziennie intensywne ćwiczenia.*

Są tu zdjęcia i życiorysy żołnierzy Batalionu „Gorlice" — np. **Romana Kasztelowicza**, który zginął 3 września 1939 roku od pocisku artyleryjskiego w pierwszym natarciu pod Częstochową.

Gablota za gablotą: zdjęcia, życiorysy, kennkarty, inne dokumenty, odznaczenia, wycinki z gazet, „Goniec Krakowski", „Małopolski Biuletyn Informacyjny".

O wrażeniach i — wzruszeniach, jakie wywołała ta ekspozycja świadczyć mogą chociażby wpisy do księgi pamiątkowej:

Pomysł świetny — mam nadzieję, że Zjazd uczniów i absolwentów Gimnazjum i Liceum im. M. Kromera w Gorlicach w dniu 3 czerwca 1989 roku przyniesie szereg dalszych wiadomości o kolejach losów wojennych tych, którzy w 1939 roku jeszcze w murach tej szkoły przebywali. **(Antoni Fugiel**, Kraków, maturzysta 1939, uczestnik Wojny Obronnej 1939 r. w szeregach Obrony Narodowej — Batalion Gorlice — ranny pod Krościenkiem Wyżnym z 8/9 września 1939 r. Członek ZWZ — AK od marca 1940 partyzant w oddziale „Kmicica" w 1944 roku.)

Bardzo ważne z punktu widzenia historycznego dla przyszłych pokoleń, aby wiedziały jak Gorliczanie walczyli, aby Polska była Polską! Gratulacje. **Juliusz Przesmycki** — uczestnik kampanii wrześniowej w OPL i w 1 kampanii harcerskiej Batalionu Obrony Lwowa. Członek AK w 2 korpusie we Włoszech, plutonowy podchorąży, obecnie prezes oddziału AK w Detroit i założyciel „Pokoju pamiątek AK w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej" — zamieszkały w Royal Och, Michigan, USA.)

Pozbierajcie ułomki, aby nie zginęły. Z wyrazami wdzięczności za pozbieranie i przechowanie pamiątek z trudnych lat naszej Ojczyzny i regionu (ks. **Tadeusz Rączkowski**.)

Z wielkim wzruszeniem zobaczyliśmy na wystawie fotografie i inne materiały związane z naszym nieżyjącym już bratem i wujkiem. Wyrażamy serdeczne podziękowanie p. Wandzie Kłapkowskiej za jej trud włożony w zorganizowanie wystawy. **(Dyląg Andrzej, Danuta, Katarzyna).**

To co miało miejsce w Polsce w latach 1939-45, na zawsze pozostanie w pamięci. Oby tysiące pomordowanych, miliony tych, którzy w II wojnie stracili bliskich, byli przestrogą przed kolejnym tego rodzaju wydarzeniem (uczniowie LO w Gorlicach).

MARIAN JANIGA

Co ma telefon do tucznika?

Szczęśliwcy, którzy mają własny telefon, narzekają często — nie bez racji — na trudności z uzyskaniem połączenia nawet z sąsiednią dzielnicą. Trzaski, szumy w słuchawce, nałożenie się rozmów czy połączenia z innym numerem — to sytuacje nagminne. A licznik bije, pieniądze lecą. Wynalazek Bella, który przed ponad stu laty był przełomem w szybkim komunikowaniu się i wymianie informacji, u nas z trudnością zdobywa sobie rację bytu. Niedocenianie przez długie lata łączności telefonicznej sprawiło, że wleczemy się w ogonie Europy.

W 1987 r. najwyższy wskaźnik abonentów telefonicznych na 100 mieszkańców miały: Szwecja — 64,19, Szwajcaria — 52,02. Finlandia — 51,00, Francja — 47,17. Średnia europejska wynosi 21, 54 abonenta na 100 mieszkańców, natomiast w Polsce jedynie — 7,4.

Wszystkie niedogodności trapiące posiadaczy telefonów w miastach — na wsi są po prostu nieznane. Dlaczego? Bo polska wieś jest głucha. W kwietniu br. telefony posiadało 2993,9 tys. abonentów, z tego na wsi jedynie — 332,5 tys. Biorąc po uwagę, że na wsi mieszka prawie 40 proc. mieszkańców 38-milionowego kraju, wszelki komentarz jest zbyteczny. Według danych z 1988 r. mieliśmy 55 054 miejscowości uznanych za wiejskie, lecz tylko w 47 692 można było skorzystać z telefonu. I to nie przez całą dobę. Łączność całodobową ma niewiele ponad 43 000 wsi. Dodajmy, że na wsi nie tylko się mieszka, ale i pracuje, a owoce tej pracy interesują wszystkich.

Czym jest telefon na wsi? Oczywiście powinien być bo jeszcze nie jest — traktowany jako środek produkcji. Dla rolnika najważniejszy jest czas. Ile mógłby go zaoszczędzić, mogąc dowiedzieć się przez telefon, czy w GS są już nawozy, a w składnicy maszyn potrzebna część do kosiarki?

W Dyrekcji Generalnej Przedsiębiorstwa Polska Poczta, Telegraf i Telefon uważają, że największym problem w rozbudowie wiejskiej sieci łączności telefonicznej jest brak central. Przemysł nie kwapi się z ich produkcją, a ponadto sporo eksportuje, nawet centrale ręczne. Gdyby nie brakowało central wiejskich z prawdziwego zdarzenia o 100-800 numerach, kabli, podzespołów — odczuwalna poprawa możliwa byłaby w ciągu mniej więcej pięciu lat. Tym bardziej, że kilkaset budynków przystosowanych do założenia w nich central czeka tylko na wyposażenie.

Mówiąc o perspektywach rozwoju telefonizacji wsi trzeba też mieć na uwadze, że pracujące centrale to sprzęt przestarzały, o pojemności 20-50 numerów. Wiele central wiejskich pracuje już 25-30 lat, a są i działające 50 lat, bardziej nadające się do muzeum niż do eksploatacji. Oprócz wyposażenia powstających central, potrzebna jest więc wymiana zużytego sprzętu. W tej sytuacji trudno liczyć na szybką poprawę jakości usług telekomunikacyjnych na wsi.

W ub. roku przyłączono na wsi 23 756 telefonów na planowane 17 000, w tym roku ze 171 000 nowych przyłączeń w całym kraju na wieś trafi 19 500 numerów. Ocenia się, że w 1990 r. na wsi będzie 350 000 abonentów telefonicznych. W latach 1991-1995 wsie wzbogacą się o kolejne 300 000 numerów, tak że w ostatnim roku przyszłej pięciolatki będą posiadały około 650 000 telefonów. Dopiero wtedy gęstość sieci telefonicznej wzrośnie do 4,4 abonenta na 100 mieszkańców, a więc ponad dwukrotnie w stosunku do obecnego stanu. To i tak za mało.

RYSZARD ANDZIAK

Zakopiański kontredans

Zwykło się mówić, że Zakopane nie ma szczęścia do władz. Bo ja wiem? Kiedy tak sięgam pamięcią wstecz i przypominam sobie postacie sekretarzy i naczelników, z którymi stykałem się z racji wykonywanego zawodu, to nie mogę się oprzeć wrażeniu, że niejedna miejscowość pozazdrościłaby Zakopanemu takich kadr i że każdy z nich miał swój okres chwały, choć trudno zaprzeczyć, że odchodził raczej w niesławie. Brakuje nam po prostu kultury życia politycznego; nie udało się wcielić w życie takich systemów powoływania i odwoływania ze stanowisk, które gwarantowałyby jakąś racjonalną i służebną wobec społeczeństwa rolę władzy. Może się mylę, ale brak pluralizmu politycznego, kontroli ze strony partii opozycyjnej, patrzącej na ręce krytycznie i bez lęku, był chyba tą przyczyną, dla której niczyj dorobek nie da się zdyskontować jednoznacznie pozytywnie.

Jest zresztą także w klimacie Zakopanego coś, co nieuchronnie prowadzi do konfliktów i sporów, w których toną dziesiątki inicjatyw. Tak było niegdyś z kinem i salą widowiskową, tak utonął Memoriał Bronisława Czecha i Heleny Marusarzówny, tak utopiono Festiwal zakopiański, niby międzynarodowy, a nie odbijający się nawet w kraju echem wydarzenia artystycznego, i tak jest ze wszystkim. Jakże bezsensowna była ta wieloletnia dyskusja dotycząca lokalizacji wysypiska śmieci. Jakże wyczerpująca ta awantura o osiedle na Pardałówce. Jakże żenujące losy sali widowiskowej „Morskiego Oka". Jakże tłumiące ludzką inicjatywę te spory o granice Narodowego Parku Tatrzańskiego i koncepcję jego narciarskiego zagospodarowania. I dzisiaj też niewiele się zmienia. Gaz zbliża się do Zakopanego, ale jeśli najpierw mówiono o 5 latach, które miały starczyć na jego rozprowadzenie, a w oficjalnym dokumencie zapisano lat trzynaście, to na plenum Komitetu Miejskiego partii przed dwoma tygodniami naczelnik Kozioł mówił już o 20 latach. Nie ma to jak perspektywiczne spojrzenie. Zresztą, jeśli rzecz będzie się posuwać tak, jak trwające już od przeszło roku wydanie decyzji lokalizacyjnej dla hotelu „argentyńskiego", to nieprędko się doczekamy finału. A przecież to samo można by powiedzieć o wyborze wariantu komunikacji miejskiej i zamknięciu centrum dla ruchu kołowego (po zorganizowaniu parkingów zaporowych) czy o rozwiązaniu we współpracy z Nowym Targiem problemu mieszkaniowego.

W Zakopanem nawet obiekt od dawna pożądany, jak choćby finalizowana już budowa oczyszczalni ścieków, jawi się jako problem nie do pokonania, no bo skąd weźmie się etaty i obsługę — mówił o tym tow. Stasik — skoro MPGK płaci, tak jak płaci i o konkurencyjności tych płac trudno mówić. Ciekawe tylko, dlaczego naczelnik Ślimak z sąsiedniego Nowego Targu z rozmarzeniem powiada, że gdyby miał połowę tych „dojść", co Zakopane, to uczyniłby ze swego miasta miejsce mlekiem i miodem płynące. Fakt, takie ośrodki jak Zakopane na świecie stanowią złotą żyłę, ale u nas wciąż coś się zacina.

Tak się zastanawiam, czy przyczyna nie tkwi w... nadmiarze inteligencji, którą dysponuje Zakopane? Bo z jednej strony ludzie tu uważają swoje miasto za pępek świata, a z drugiej kłócą się zapamiętale o wszystko, toczą się nie kończące się „gry", zawierają sojusze taktyczne, wchodzą w „układy", powołują do życia różne „sauny" i inne grupy nacisku, a tak naprawdę, to nic z tego literalnie nie wynika, poza swoistą niemożnością z witkiewiczowsko-gombrowiczowskim rodowodem.

Z pewnym zażenowaniem przysłuchiwałem się obradom zakopiańskiego Komitetu Miejskiego partii. Jak przypomniano, przeszło sto stanowisk kierowniczych w mieście sprawują członkowie partii. I co z tego wynika? Niewiele. Narastający spór władz partyjnych i administracyjnych absorbuje ludzką energię, wyzwala emocje, zajmuje czas.

A my, przybysze z Polski, nieszczęsna stonka turystyczna, ogałacająca znakomity zakopiański rynek handlowy ze wszelkich dóbr (ciekawe, że nikt się tu nie zastanawia, kto je wytwarza) wciąż jeździmy z uporem do tego dziwnego miasta, które chętnie ściąga z nas pieniądze, ale żeby czymś się zrewanżowało, to już nie. Typowy polski kontredans, chocholi taniec, z którego przebudzenie nie jest możliwe. Chyba że..., no właśnie, chyba że co? — drodzy zakopiańczycy.

STEFAN CIEPŁY

Fot. MICHAŁ SROKA

Kącik działkowca

Przede wszystkim — systematycznie niszczymy chwasty, nie dopuszczając do wydania przez nie nasion.

Po zbiorze wczesnych warzyw przygotowujemy glebę pod uprawę poplonów. Usuwamy dokładnie resztki roślin, nawozimy i przekopujemy. Już teraz można nawozić działkę obornikiem lub kompostem.

Przez cały czas — do końca sierpnia, wysiewamy szczaw, koper, roszponkę i na zbiór jesienią następnego roku — skorzonerę. Aby mieć dłuższe zbiory, w odstępach cotygodniowych, wysiewamy małe ilości rzodkiewki. Zalecam odmiany typu paluszkowego o krótkim okresie wegetacji — „warta" i „silesia". Do połowy miesiąca wysiewamy mieszanki roślin motylkowych (do przekopania jesienią).

Wysadzamy na zagony rozsadę kalarepy, jarmużu, sałaty i kapusty pekińskiej.

Zasilamy pogłównie — nawozem azotowym — kalafiory, brokuły, sałatę (wysadzoną w lipcu), ogórki i marchew — z późnego siewu, selery, późne odmiany pomidorów i kapusty, a także warzywa wysiane na początku lipca.

Ogławiamy pędy pomidorów wysokich (ucinamy wierzchołki nad drugim liściem za ostatnim kwiatostanem). Jeśli u krzaków pomidorów dużo liści jest zżółkniętych — to ich nie ogławiamy.

Ogławiamy natomiast kapustę brukselkę (odcinamy czubek rośliny), gdy górne główki są wielkości 0,5-1 cm, a dolne 1,5 -2 cm.

Usuwamy pędy kwiatostanowe u rabarbaru, szczypiorku, szczawiu — ponieważ wiązanie nasion osłabia rośliny.

Zbiory warzyw przeprowadzamy w czasie suchej pogody — po wyschnięciu rosy. Zapobiegamy wówczas rozprzestrzenianiu się chorób. Nie dopuszczamy do przerastania owoców, gdyż pogarsza to ich jakość i obniża plonowanie. Usuwamy z roślin przerośnięte, zniekształcone i chore owoce. Palimy je, lub — po zwapnowaniu — głęboko zakopujemy.

dr inż HANNA MASTERNAK

STATYSTA

Ma 35 lat. Dziesięć lat temu skończył studia w Politechnice Krakowskiej, uzyskując tytuł magistra inżyniera. Od tej pory już cztery razy zmieniał pracę, a obecnie szuka nowej. Kto wie, czy nie przystanie na propozycję szwagra, który pół roku temu otworzył zakład produkujący zabawki i całkiem nieźle na tym wychodzi. Czy na studiach myślał, że będzie pracował przy produkcji laleczek lub gumowych piłek?

— *Kiedy ma się ćwiczenia w laboratoriach, w których jest sprzęt od lat wycofany z obiegu produkcyjnego, a praktyki odbywają się w zakładach przemysłowych, gdzie maszyny są wyeksploatowane aż do granic wytrzymałości, to trudno mówić o jakichkolwiek złudzeniach. Kończą się one mniej więcej na etapie ogólniaka. Gdy wychodzi się poza mury szkoły, wtedy człowiek myśli o jak najlepszym dopasowaniu się do rzeczywistości. Już na studiach zrozumiałem, że to, co przyjdzie mi robić, po uzyskaniu dyplomu, będzie pozbawione większego sensu i nie da mi zadowolenia, dlatego nie przeżywałem poważniejszych frustracji zawodowych. Przyjąłem zasadę — nie spodziewać się od życia niczego nadzwyczajnego, ani nie wierzyć w cuda.*

O wyborze politechniki zadecydowały... błędy ortograficzne w wypracowaniach z języka polskiego. Obniżane przez te błędy oceny zniechęciły go do formułowania swoich opinii i sądów.

Uważa, że podstawową wadą nauczycieli jest dzielenie uczniów na uzdolnionych humanistycznie lub politechnicznie, co w konsekwencji rodzi braki edukacyjne z przedmiotów ścisłych u pierwszych, a z humanistycznych — u drugich. W naszych szkołach, już podstawowych, obowiązuje niepisana zasada: jeśli uczeń umie ładnie recytować wiersze i w miarę poprawnie pisać, to nie musi wykazywać się znajomością algebry czy trygonometrii i odwrotnie. Po prostu na długo przed wyborem studiów człowiek zostaje zaprogramowany, zakwalifikowany do odpowiedniej szuflady, z której, jeśli sam nie będzie chciał, już się nie wydostanie.

— *Sposobem na ułożenie sobie życia jest kontrakt zagraniczny, o który obecnie wielu zabiega. Wywozi się poza granice kraju swoje zdolności i siły, a więc to, co ma człowiek najcenniejszego, aby w zamian dostać dolary. Czy zakłady robią coś, aby zatrzymać dobrych technologów, konstruktorów, utalentowanych lekarzy? Owszem... nie dają im pozwolenia na wyjazd lub bezpłatnych urlopów. Nikt nie proponuje takim pracownikom wynagrodzenia, które mogłoby konkurować z tym, jakie obiecuje kontrahent zagraniczny. Ale najczęściej zakład pracy udziela błogosławieństwa w postaci dobrej opinii i najlepszy oraz najzdolniejszy jedzie wzbogacać swoim umysłem czy rękami inne narody.*

W zakładzie produkcyjnym najlepiej ujawnia się stan gospodarki państwa, jest to także doskonały barometr nastrojów. Kontakt z rzeczywistością poprzez maszynę i jej otoczenie nie pozwala na zniekształcenie i deformację obrazu społeczeństwa (co często ma miejsce, gdy poznaje się rzeczywistość spoza biurka). Trudno nie dostrzec działań krótkowzrocznych, decyzji pozbawionych perspektywicznego myślenia. Stale eksploatowana maszyna, do tego nieprawidłowo użytkowana, psuje się bez przerwy. Zatrudnia się więc mechanika i poddaje ją remontom, ale nie kupuje się nowego — najczęściej niedostępnego za złotówki — sprzętu. W rezultacie dochodzi do tego, że maszynie nie pomagają już żadni mechanicy: rozsypuje się, a funkcjonowanie zakładu bez niej staje się niemożliwe, bo co innego, gdy maszyna pracuje z przerwami, a co innego — gdy jej w ogóle nie ma. W takiej podbramkowej sytuacji dyrekcja decyduje się na zakup nowego urządzenia. Odbywa się to jednak nie zawsze w sposób przemyślany. Nierzadko nie zwraca się większej uwagi na jakość nowego urządzenia. Ważne jest tylko, aby nie było przestojów, aby produkcja ruszyła.

Zdarza się również, że aparatura stoi bezużytecznie miesiącami, gdyż brakuje do niej śrubki kosztującej kilkadziesiąt dolarów. Po latach ktoś sobie o niej przypomina, ale wtedy trzeba wyasygnować na jej naprawę i konserwację kilkaset, jeśli nie kilka tysięcy dolarów. Pieniądze jakimś cudem znajdują się, ale nikt nie zastanawia się nad tym, że przeznacza się je na sprzęt już pod względem konstrukcyjnym i technologicznym przestarzały. Wnioski wyciąga się dopiero po wprawieniu maszyny w ruch.

Czy on — inżynier — może rzeczywistość zmieniać?

Na decyzje podejmowane w przedsiębiorstwach, w których pracował, nie miał żadnego wpływu. Kilka razy usiłował wyrazić swoją opinię, wpłynąć na zmianę wadliwie — jego zdaniem — podjętej decyzji, ale nikt na jego słowa nie zwrócił większej uwagi.

— *Nie należę ani do związków zawodowych, ani do organizacji politycznych. To świadomy wybór, nie wydaje mi się bowiem, żebym nawet należąc do jakiejś organizacji miał rzeczywisty wpływ na podejmowanie decyzji w moim zakładzie pracy. Poza tym sam już nie wiem, czy mi naprawdę na tym zależy... Bardziej jestem obserwatorem niż działaczem. Pragnąłbym tylko jednego: żeby moje kwalifikacje były właściwie wykorzystywane, a praca godziwie wynagradzana. Może gdy wejdę w spółkę ze szwagrem, uzyskam więcej pieniędzy. Ale czy można mówić o satysfakcji?*

DANUTA BINEK

Fot. ANTONI ŁOPUCH

Zaprosili nas

▲ Komenda Wojewódzka Ochotniczych Hufców Pracy na III międzynarodowe seminarium „Młodzież dla pokoju" oraz na spotkanie z uczestnikami międzynarodowego obozu pracy;

▲ Biuro Wystaw Artystycznych w Zakopanem na wystawy: malarstwa Nikifora, ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu (otwarcie ekspozycji 4 sierpnia o godz. 12) oraz tkaniny artystycznej i rękodzieła Zakopiańskich Warsztatów Wzorcowych (z okazji 40-lecia Cepelii) — wystawa będzie czynna od 2 września br;

▲ Klub Empik w Nowym Sączu na wystawę malarstwa Bogumiły i Stefana Pękałów;

▲ Karpacka Brygada WOP na spotkanie młodzieży kolonijnej z wopistami;

▲ Ludowy klub sportowy „Lubań" w Maniowach na swoje 40-lecie.

ANNA SZOPIŃSKA

MŁODZI ZDOLNI

Po raz pierwszy jako grupa pokoleniowa i środowisko twórcze zaprezentowali się w październiku ubiegłego roku, wystawiając swoje prace, gdy rozpoczynała żywot łopuszańska galeria. Młodych plastyków nowotarskich, nim staną się gospodarzami we własnej galerii, zaprosił teraz w gościnę Spółdzielczy Dom Kultury.

Jeśli spotkanie po latach, udział w zbiorowej ekspozycji — dadzą okazję do wymiany doświadczeń, umocnienia przyjaźni, przygotują grunt dla następnych wspólnych poczynań, to spełniony zostanie kolejny nasz cel — stwierdziła w przedmowie do katalogu wystawy pani Roma Numrych, przypisując dalej miastu jakąś szczególną zdolność przyciągania ludzi utalentowanych i wyzwalania artystycznych zamiłowań w urodzonych tutaj choćby los potem rozniósł ich po świecie.

Szuka Młodych Artystów Nowotarskich to rzeczywiście wystawa będąca nie tyle przeglądem dorobku twórczo usposobionych nowotarżan (z urodzenia albo z wyboru) co pretekstem do pokazania się razem, do zasygnalizowania pokoleniowej jedności i różności. Wspólnych cech nowotarscy artyści na dorobku mają niemało — choćby, jak wybadała pani Roma — podobne horoskopy (większość z nich jest spod znaku Wodnika i Koziorożca), większość także stanowią absolwenci wydziału architektury wnętrz. Znalazły się w tym gronie osoby, które nie skończyły jeszcze 35 lat, lecz artystyczne życiorysy dziewiątki plastyków różnej są długości.

Po raz pierwszy szerszej publiczności pokazuje swoje prace **Anna Dziubas** — od roku z dyplomem krakowskiej ASP, od skończenia studiów znowu w rodzinnym domu. Choć niepewna jeszcze obranej drogi, wykazała się debiutantka niezwykłym wyczuciem koloru — w akwalerach pokrywanych lakierem dla nadania głębi i połysku, malowanych na welurowym papierze, by zyskać nieosiągalną inaczej miękkość powierzchni — jest cała radość świata barw, są zjawiskowe postaci, które pilne oko może wyłowić z mozaiki kolorowych plam, są sceny podobne dziwnym snom. W małych formatach zamieściło się tyle finezji i wdzięku, ile zaprezentować może tylko „babskie" malarstwo.

Nowotarżaninem z urodzenia jest **Wiesław Gdowicz** — absolwent krakowskiej ASP, asystent w Katedrze Wzornictwa Przemysłowego ASP w Katowicach, laureat wielu nagród krajowych i zagranicznych. Drzeworyt sztorcowy to unikatowa technika wymagająca zegarmistrzowskiej precyzji i benedyktyńskiej cierpliwości — drewno cięte wzdłuż słojów i żłobione jakby igłą daje na odbitce zdumiewająco delikatny rysunek, kreskę cieniutką i gęstą. Taka bardzo piękna jest „Nauka języka" — symboliczne przedstawianie czynności, co otwiera światy nieznane, przybliża dalekie lądy. Żal, że na nowotarskiej wystawie ani jedno zdjęcie nie opowiada o innej pasji Wiesława Gdowicza — fotografii artystycznej, żal, że Podhale oddało Katowicom takiego twórcę i nauczyciela, szkoda, że niewiele tu o nim słychać, choć prace zdolnego plastyka trafiły do muzeów Belgii, Szwajcarii, Finlandii i Norwegii.

Holandię wybrała inna nowotarżanka z urodzenia — **Marta Jędrysko.** Trzy prace pożyczone z rodzinnego domu i wystawione w towarzystwie dzieł innych młodych artystów, prace pełne ekspresji i malarstwo śmiałe — potwierdzają dużą dynamikę tego talentu, choć z pewnością trafią nie we wszystkie gusta.

Dzieł najbardziej reprezentatywnych dla **Krzysztofa Kabata** — urodzonego w Chodzieży a osiadłego w Nowym Targu nie sposób było zmieścić w Spółdzielczym Domu Kultury, absolwent KUL zrealizował bowiem cztery wnętrza kościelne, trudni się malarstwem sztalugowym, ikonowym i monumentalnym, uprawia ry-

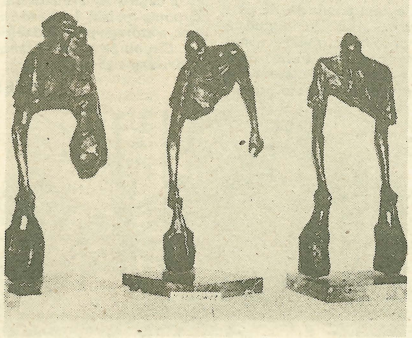

Fot. LESZEK STASZEL

sunek i snycerkę. To, co zmieściło się w wystawowej sali jest jakby wytchnieniem po wielkim formacie — geometria brył i płaszczyzn kojarzy się z układaniem wizerunku współczesnego świata, tworzy kompozycje nie zawsze stabilne; niebieskawe, zielonkawe i liliowe pejzaże zdradzają upodobania do stosowanych, delikatnych, przygaszonych szarością barw, zalecają się oku jako motywy dekoracyjne.

Tkaniny artystyczne **Teresy Olbrychtowicz** reklamuje tu tylko jedna, znana już z Łopusznej, szata z barwnymi aplikacjami — szkoda, że nie udało się zgromadzić innych prac plastyczki, która ma przecież na swoim koncie współpracę przy realizacji „rzeźb świetlnych" (USA) i udział w czterech zbiorowych wystawach.

W USA wystawiał najczęściej swoje dzieła **Jerzy Olbrychtowicz** — absolwent krakowskiej ASP, architekt wnętrz. Tutaj przedstawiają go prace warsztatowo ciekawe — **łączące grafikę z rysunkiem — jakby zamysły, które nie przedzierzgnęły się jeszcze w przejrzystą metaforę, nie poddają się łatwym skojarzeniom.**

Wydział architektury wnętrz mają za sobą także bracia **Pustówkowie,** wierni jednak malarstwu. Spośród prac **Olgierda** wyróżnia się plastycznym efektem beżowa kompozycja szorstkich i gładkich płaszczyzn — eksperymentowanie z jednobarwnym tworzywem to jakby przemyślane odejście od kolorowych plam, z których autor nie zdołał jednak wykrzesać potrzebnej Sztuce sugestywności. Barwne płaszczyzny i plamy olejnych przedstawień **Leszka Pustówki** mówią już własnym językiem, mają swój klimat i artystyczną wyrazistość.

Zatrzymać się trzeba przy jedynych na tej wystawie brązach — wyszły z pod ręki **Piotra Chodorowicza,** ucznia prof. Mariana Koniecznego. Brązowy metal służy tematowi jak żadne inne tworzywo — ludzkie barki gięte ku ziemi ciężarem przyrośniętym do dłoni tworzą formy przestrzenne o dużej sile wyrazu. Czy je postrzegać jako „kobiety z siatkami" czy grupę szarych Syzyfów współczesnej nam rzeczywistości — pozostaną obrazem przytłoczenia. O tyle wymowniejszym, że niedopełnionym — bo są bez buntu.

Gdyby nie letni czas, gdyby nie zagraniczne wyjazdy i rozproszenie młodych nowotarskich plastyków — wystawa na pewno byłaby bogatsza w eksponaty. Brakło teraz **Renaty Paszkowskiej,** brakło **Marcina Ozorowskiego** i paru innych. Te okoliczności i pośpiech przy urządzaniu wystawy zaciążyły bez wątpienia na jej kształcie, bo spora część prac nie ma tytułów ani opisów, sygnowana jest tylko nazwiskiem autora. Mimo to *Sztuka Młodych Artystów Nowotarskich* jest ekspozycją pomysłową i niebanalną — przede wszystkim dlatego, że prace rozmieszczono na metalowych konstrukcjach służących jeszcze niedawno jako rusztowania budowlane. Wyczyszczone i pociągnięte farbą są teraz znakomitym i funkcjonalnym stelażem dla dzieł młodej generacji, metry białego płótna rozciągnięte na rusztowaniach są dobrym, bo neutralnym tłem dla grafik i barwnych kompozycji, nie pochłaniają światła. Eksponaty nie tłoczą się i nie duszą, duża przestrzeń pozwala oddychać swobodnie. Dobra koncepcja i szczypta improwizacji nie przeszkadzają sobie, a raczej dopełniają się, tworząc — klimat nowoczesnie zagospodarowanej sali.

Co więcej — wspólnotę pokoleniową z plastykami poczuli muzycy — otwarcie wystawy uświetniły swoim występem wschodzące gwiazdy polskiego jazzu, czyli zespół przez patriotyzm lokalny ochrzczony *„New Market"*. W jego składzie: **Andrzej Cudzich,** urodzony wprawdzie poza Nowym Targiem, ale związany z miastem przez swoje szkolne lata, stale współpracujący z czołowymi zespołami jazzowymi, z Janem Ptaszynem-Wróblewskim i Karolem Namysłowskim,mający już w dorobku kilkanaście płyt nagranych w Polsce i za granicą. Wraz z bratem Robertem zdobywał Andrzej Cudzich I miejsca na imprezach „Jazz nad Odrą", „Jazz Juniors" i „Jazz Jamboree", grał na festiwalach we Włoszech, Holandii i RFN, jego trasy koncertowe wiodły nawet przez Etiopię. Szef zespołu mieszka w Krakowie, **Robert Cudzich** — w Durszlynie. Trzeci z grupy — **Jacek Polakiewicz** zaczął karierę jazzową zdobyciem w zeszłym roku I miejsca podczas „Jazz Juniors", a brał też udział w konkursach zagranicznych i razem z braćmi Cudzichami nagrywa teraz płytę zespołu „New Market".

O jazzmanach wyrosłych w Nowym Targu niewiele słychać w tym mieście i dobrze, że choć w lipcu zebrali się, by pograć kolegom plastykom.

ROMAN DĘBECKI

Majstersztyk reportażu

Habent sua fata libelli — i księgi mają swój los. Ta rzymska maksyma znakomicie pasuje do dzieła Melchiora Wańkowicza o bitwie pod Monte Cassino. Wielki reportaż rodził się już w trakcie trwania bitwy i tuż po jej zakończeniu. „Bitwa o Monte Cassino" wydana w trzech tomach w latach 1945-1947 we Włoszech jest dziś bibliofilskim białym krukiem. W Polsce aż do tego roku nigdy nie ukazała się w pełnym wydaniu. Pierwsze, okrojone przez cenzurę wydanie, ukazało się w roku 1957. W latach następnych pojawiać zaczęły się kolejne, rozszerzane wydania. Ostatnie, z lat osiemdziesiątych, już w niewielkim tylko stopniu odbiegały od oryginału wydanego we Włoszech. Dopiero jednak teraz, w 45 lat od słynnej bitwy, nakładem Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej ukazał się reprint w takiej formie edytorskiej, w jakiej ukazało się wydanie pierwsze.

Jest to dzieło imponujące. Rację mieli ci recenzenci, którzy omawiając poszczególne tomy w miarę ich ukazywania się nie szczędzili autorowi słów pochwały i uznania. Np. J. Bielatowicz w „Orle Białym" stwierdził, że „Monte Cassino" jest bez wątpienia najlepszym dziełem wojennej literatury polskiej. Inni pisali o majstersztyku reportażu, uznawali książkę Wańkowicza za najważniejsze dzieło literackie i dokumentalne, jakie ukazało się w czasie wojny.

Jak powstawało „Monte Cassino"?

Wańkowicz przystąpił do pracy zaraz po zakończeniu bitwy. Miał przy tym do dyspozycji dokumenty wytworzone przez poszczególne jednostki i oddziały biorące udział w bitwie, ponadto sam zadbał o zebranie jak największej liczby relacji, „odcedzając" je z rodzącej się z dnia na dzień legendy. Jak jednak zebrać relacje od wszystkich uczestników bitwy, w której udział brały m.in. 192 plutony piechoty, trzy pułki kawalerii, dwa szwadrony czołgów, artyleria, łączność, saperzy, służby transportowe, medyczne... Oddajmy głos samemu Mistrzowi:

Przystępując do opracowania materiałów — wspomina Wańkowicz — *sporządziłem sobie tyle arkuszy papieru poświęconych jednostkom do kompani włącznie, ile kwadransów było w gorących okresach bitwy, ile półgodzin w okresach mniejszego natężenia i ile godzin w chwilach zacisza. Arkusz każdy miał rubryki plutonów, czasem drużyn, rubryki różnokolorowych haseł i rubryki odnośników do tematyki na innych arkuszach kartoteki. Takie same arkusze były założone dla dowództw batalionów, brygad, dywizji i sztabu Korpusu, dla szpitali i służb pomocniczych. (...) Uporawszy się z tym zadaniem przepisywałem pierwszy szkic napisanego tekstu w sześciu odpisach na drugi ząb na małych kartach z marginesem na szerokość pół kartki. Z tego pięć odpisów szło kurendą według wyznacznika zainteresowanych oddziałów i wracało z uwagami na marginesach. Uwagi sprzeczne były wymieniane między dyskutującymi do uzgodnienia.*

Kiedy już Wańkowicz uporał się z tekstem, pozostawała sprawa nie mniej ważna — strona graficzna przygotowywanego dzieła. Autor uparł się, aby książkę drukować techniką wklęsłodrukową, co pozwala na wkomponowanie ilustracji w tekst, uzyskać inny odcień druku, a inny ilustracji. A jest tych ilustracji w trzech tomach 1968! Składa się na to 927 fotografii, 589 zdjęć „legitymacyjnych" uczestników bitwy, 326 rysunków, 87 mapek terenowych, 21 fotomontaży, 12 zdjęć lotniczych, 2 panoramy fotograficzne, 4 barwne mapki sytuacyjne.

Dzięki wkomponowaniu ilustracji w tekst stały się one jego integralną częścią, większość nie potrzebuje podpisu, gdyż podpisem jest po prostu akapit czy wiersz pod lub nad zdjęciem. Jeśli więc Wańkowicz w tomie I na stronie 200 pisze o artylerii, to na tej samej stronie można zobaczyć zdjęcia zamaskowanych na stanowiskach dział. Kilkanaście stron dalej opisany jest główny punkt opatrunkowy, a uzupełnieniem opisu są namioty z krzyżem na dachu. I tak jest praktycznie na każdej stronie.

Wańkowicz przyznawał, że część zdjęć ilustrujących fragmenty bitwy zaaranżował. *Całe fragmenty bitwy trzeba było reilustrować. Wydębiałem więc z dowództw oddziały, o co w czasie wojny było trudno, dla odtwarzania pod ogniem aparatów fotograficznych autentycznych natarć w autentycznych miejscach przez autentycznych uczestników.*

Kolejną trudnością, wydawało się początkowo, że nie do pokonania, było zdobycie w warunkach wojennych odpowiedniego papieru w ilości wystarczającej na druk kilkutysięcznego nakładu „Monte Cassino". Swojej niespożytej energii i odrobinie szczęścia zawdzięczał Wańkowicz pokonanie i tej przeszkody. *Przez kolegę szkolnego* — wspominał — *zamieszkałego we Włoszech udało się wytropić pod Florencją dobry papier, wystarczający na wydrukowanie ośmiu tysięcy egzemplarzy pierwszego tomu. W Rzymie wykryło się trzeciorzędną drukarenkę, która dla potrzeb Watykanu rozporządzała od wieków zdartymi polskimi matrycami na linotyp. Składali Włosi — litera po literze, korekty były kilkunastokrotne. Potem następowało obłamywanie ilustracji na tysiąc dwustu stronach, bo przy przyjętym systemie nie było niemal stron bez zdjęć.*

Czytelników zainteresuje zapewne, jakie fragmenty wydania włoskiego były dotychczas pomijane. Przede wszystkim — opisujące żołnierzy Drugiego Korpusu podczas zsyłki w Związku Radzieckim, tragedię dzieci i ludności cywilnej, wszelkie wspomnienia o łagrach, te fragmenty, gdzie pojawiała się nazwa Katyń.

Przy okazji ukazania się pełnego wydania „Monte Cassino" warto wspomnieć, że Wydawnictwo Polonia w ciągu najbliższych trzech lat wyda dzieła emigracyjne pana Melchiora. Będzie to m.in. „Droga do Urzędowa", „Wrzesień żagwiący", „Kundlizm", „Dzieje rodziny Korzeniewskich", „Klub trzeciego miejsca", „Polacy i Ameryka", „De profundis", a także „Monte Cassino". Można by się jeszcze upomnieć o „Sztafetę" — sześćsetstronicowe dzieło o budowie COP i gospodarczych osiągnięciach Drugiej Rzeczypospolitej — drukowane taką samą techniką jak „Monte Cassino", a więc z mnóstwem zdjęć wkomponowanych w tekst.

Mieczysław Michalik

Debiutował na scenie Teatru Robotniczego w roku 1949 jako Malarz w „Królowej Przedmieścia". Teraz zbiera oklaski sądeckiej publiczności w sztuce Sławomira Mrożka „Szczęśliwe wydarzenie". Wcielał się przez czterdzieści lat w przeróżne role — bawił dzieci, wzruszał dorosłych. Wielokroć nagradzany i wyróżniany otrzymał 20 lipca br. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Jubileusz Mieczysława Michalika zgromadził wielu miłośników jego talentu, przyjaciół, przedstawicieli władz. Były kwiaty, gratulacje, okazały tort. Dom Kultury Kolejarza, od kilku pokoleń wzbogacający życie kulturalne Nowego Sącza, może wpisać do swojej kroniki kolejny udany wieczór. Cieszy zwłaszcza obecność artystycznie uzdolnionej młodzieży, żywo reagującej na spektakl i serdecznie odnoszącej się do Jubilata. Właśnie ta więź międzypokoleniowa zapewnia trwanie sceny imienia Bolesława Barbackiego przez lat bez mała siedemdziesiąt.

Zdjęcia — JERZY CEBULA

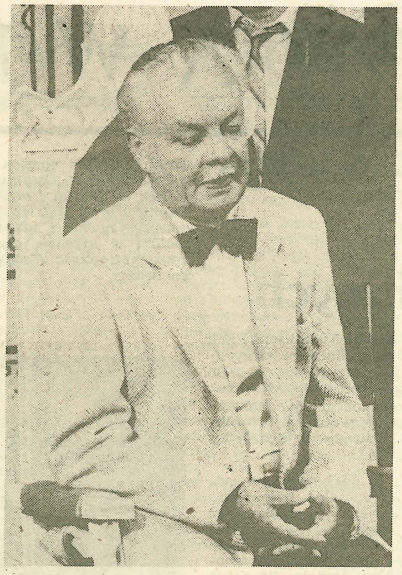

WOK informuje

● Reprezentantami naszego województwa na tegorocznym **Krajowym Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej ZMW** była grupa słuchaczy Studium Nauczycielskiego z Rabki. Prezentowali się w dwustu konkursach — m.in. obrzędu i tańca ludowego, pieśni ludowej, tańca narodowego, fotograficznym, kronik szkolnych, potraw regionalnych — i w ogólnej punktacji zajęli I miejsce.

● W **Ogólnopolskim Przeglądzie Dorobku Kulturalnego Wsi — Przytoczna '89** nasze zespoły również pięknie się spisały. Zespół regionalny „Mszalniczanie" wywalczył I lokatę widowiskiem obrzędowym „Wesele lachowskie". „Mszalniczanie" otrzymali również nagrodę specjalną naczelnika miasta i gminy Przytoczna za stworzenie miłej atmosfery podczas imprezy. Natomiast Amatorski Teatr Ludowy im. Franciszka Macioła ze Skomielnej Białej otrzymał wyróżnienie za grę aktorską. Na towarzyszącym Przeglądowi Jarmarku Twórczości Ludowej prezentował swe prace twórca ludowy, malarz i rzeźbiarz — **Stanisław Apriasz** z Polnej.

● Bogaty jest dorobek reprezentacji naszego województwa na **II Ogólnopolskim Konkursie Muzyki i Pieśni Ludowej Młodych** w Jaśle:

W kategorii śpiewaków ludowych I miejsce oraz nagrodę naczelnika miasta Jasło zdobyła **Renata Szewczyk** z Łopusznej.

W kategorii solistów instrumentalistów I nagrodę wywalczyli — **Grzegorz Takuski** ze Starego Bystrego i **Leszek Szewczyk** z Łopusznej, II nagrodę — **Paweł Salamon** z Krościenka, a wyróżnienie **Maciej Leja** z Czerwiennego

W kategorii zespołów śpiewaczych laureatem I nagrody oraz nagrody (rzeczowej) dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Krośnie został dziewczęcy zespół śpiewaczy „Łopuśnianie" z Łopusznej, II nagrodę zdobył męski zespół śpiewaczy „Łopuśnian", wyróżnienia — dziewczęcy zespół śpiewaczy „Swarni" z Nowego Targu i Zespół Pieśni Łemkowskiej z Uścia Gorlickiego, a wyróżnienie specjalne — grupa śpiewacza „Małe Turnie" ze Starego Bystrego.

W kategorii tradycyjnych kapel najlepsza była kapela „Pieniny" z Krościenka (I miejsce), III pozycję zajęła kapela zespołu „Swarni" z Nowego Targu, a wyróżnienia otrzymały — Góralska Muzyka Takuskich ze Starego Bystrego i kapela „Kicerzoki" z Brunar.

★

● **Józef Witkowski** pisze ze Szczawnicy o wystawie rysunków i obrazów **Andrzeja Piszczka**, które można było oglądać w szczawnickim Miejskim Ośrodku Kultury do końca lipca br.

Twórca urodził się w 1954 roku w Krynicy i z miastem tym, a także z całym naszym regionem jest mocno związany. Ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale już pod koniec lat siedemdziesiątych poświęcił się sztuce. W pracach swych podejmuje głównie tematy związane z urodą tutejszej ziemi. Nie unika eksperymentów twórczych. Zajmuje się również grafiką użytkową. Sięga po różne techniki — rysunek ołówkiem i tuszem, akwarele, malarstwo olejne i na szkle. Jest członkiem Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Nowym Sączu. Uczestniczył w wystawach zbiorowych, miał ekspozycje indywidualne.

● **Władysław Orzech** z Zakopanego informuje o niecodziennej ekspozycji, jaką można było oglądać w drugiej połowie lipca br. w zakopiańskim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki: Wystawie Plakatu Przeciwalkoholowego na świecie. 90 barwnych plakatów przyjechało pod Tatry z Australii, Belgii, Francji, Finlandii, Holandii, Czechosłowacji, RFN, Związku Radzieckiego i Szwecji.

● Jeszcze **do 6 sierpnia (niedziela)** trwa **kiermasz dzieł sztuki** organizowany przez Biuro Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu. **Galeria BWA (ul. Jagiellońska 34)** zaprasza **w czwartek i piątek w godz. 10-17, a w sobotę i niedzielę w godz. 10-14.** Obejrzeć i kupić można prace sądeckich artystów plastyków — między innymi **Krzysztofa Bojarczyka, Krzysztofa Kulisia, Wojciecha Sarneckiego i Stanisława Szafrana.**

JAN DOPRAWA

GWIAZDOZBIÓR

Rawik

Miniony Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu przypomniał wielu artystów i wyrobników piosenkarskiej estrady, których nieco zapomnieliśmy. W pięknym, choć nie takim jaki być mógł, koncercie *nowego retro*, zatytułowanym „Cicha woda" — pojawili się m.in. Carmen Moreno, Zbigniew Kurtycz, Janusz Gniatkowski, Mieczysław Wojnicki i inni artyści godni opisania w "Gwiazdozbiorze". Także podczas innych festiwalowych manifestacji przypomnieli się piosenkarze nieco zapomniani. Na przykład Kazio Grześkowiak.

Jednym z ciekawszych wieczorów opolskich był ten, którego gospodynią została Joanna Rawik. Co prawda gości przybyło na jej recital niewiele — ale wrażenie pozostało duże!

Joanna Rawik należy do pokolenia dojrzałego. Kobiecie wieku przypominać pono nie wypada, jednak dla przybliżenia osoby gwiazdy powiedzmy od razu, że ma Rawik niewiele po pięćdziesiątce. Z tego większość lat spędzonych w bezpośrednim kontakcie ze sztuką.

Jak uważni Czytelnicy zauważyli na pewno — nie użyłem w tej rekomendacji słowa „estrada" czy nawet „piosenka", choć przecie działalność artystyczna Joanny Rawik kojarzy się przede wszystkim z tym kręgiem artystycznym, który używa sztandaru estrady. Jednakże działalność Joanny tak dalece przekracza wąski mimo wszystko zakres skojarzeń „estradowych" czy „piosenkarskich", że raczej gotów jestem uważać ją po prostu za artystkę, wypowiadającą się w różnych językach (czy narzeczach) artystycznych.

Zaczynała swe artystyczne przygody w teatrze. Związana była z różnymi ośrodkami teatralnymi, m. in. ze studiem teatralnym w Kielcach. Może więc o sobie śmiało powiedzieć, iż jest „człowiekiem teatru". Dla artystów estrady — owo sformułowanie ma specyficzny smaczek *wyższego wtajemniczenia.*

Teatralne doświadczenie Rawikówny zaczęło owocować bezpośrednio dopiero na estradzie. Jako piosenkarka odróżniała się Joanna nadzwyczajną dbałością o dykcję, pewnego rodzaju tradycyjnym artykułowaniem głosek i wyrazów, staroświecką starannością interpretacyjną. Jej niski, silny, bardzo ekspresyjny głos brzmiał też jakoś tak „technicznie", nieco nawet sztucznie. Wyczuwało się jego staranne opanowanie, wyczuwało umiejętność operowania, tzw. „starą szkołę". Wszystkie te — i inne jeszcze — cechy miały swoiście „niemodny" (i przez to orginalny!) charakter już w chwili zdobywania przez Rawikównę pierwszych słuchaczy. Z czasem, gdy kunszt wykonawczy artystki okrzepł — słuchać można tej wykonawczyni z jeszcze większym zainteresowaniem. Okazuje się, że panujące od pewnego czasu przekonanie o konieczności śpiewania „naturalnego", o obowiązku naturalnego dźwięku i bezpośredniego kontaktu z widzem — nie wyklucza wcale prawa do istnienia i podobania się tych „tradycyjnych" artystów, którzy traktują techniki wykonawcze z dawną atencją i celebrą, którzy zakładają istnienie rampy, którzy stają na koturnie...

Problem Joanny Rawik nie był (i nie jest) jednak jedynie problemem staroświeckiej refrenistki. Refrenistek takich pamiętamy wszak wiele, zwłaszcza w pokoleniu rówieśnym Joasi. O Rolskiej, Bielskiej etc. słuch zaginął — zaś Rawik została.Wszystko polega tu bowiem na wnętrzu, osobowości, energii. Rawikówna była, jest i będzie osobowością nietuzinkową, także poza estradą.

Do redakcji „Przekroju", w której stale pracuję — nadszedł niedawno gruby pakiet kartek maszynowych. Był na nich tekst książki zatytułowanej „Hymn życia i miłości". Książki poświęconej Edith Piaf. Autorką tej książki jest oczywiście Joanna Rawik. Jest to materiał fascynujący! Być może nie wybitny literacko, może nie porywający stylistycznie — ale absolutnie kompetentny i napisany w sposób „amerykański". Od biografii Piaf spisanej przez Joannę nie sposób się wprost oderwać!

Artykuł może napisać każdy. Nawet pamiętnik — wielu. Jednak książka wymaga szczególnego talentu i pracowitości. Maszynopisem, który przeczytałem, przekonała mnie Joanna, iż niezmierzone są wprost możliwości jej artystycznej wypowiedzi...

Piosenka francuska zresztą — to jedna z wielkich namiętności Joanny. Od kilku lat propaguje wytrwale ten kulturowy fenomen w Polskim Radiu. Wie wszystko, przygotowuje nowe książki. Ta fascynacja wpłynęła zresztą zapewne i na jej estradowy styl. Sprawiła, że jej piosenkarskie recitale — jak choćby ten w Opolu, podczas tegorocznego Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej — mają niepowtarzalny szarm, szyk, są eleganckie i refleksyjne. Są jakieś *francuskie* właśnie...

Trudno się tej fascynacji dziwić. Sama Joanna opowiadała mi wszak kiedyś, że język francuski był drugim, jakiego się nauczyła jako dziecko. Po rumuńskim, języku kraju urodzenia...

Rawik to wybitna artystka. Tak. Słuchajcie Rawik. Może będzie jeszcze okazja.

Schroniska górskie PTTK

„Trzy Korony" w Sromowcach Niżnych

Wybudowane w Sromowcach Niżnych w 1930 roku przez Wojewódzką Komisję Turystyczną w Katowicach z przeznaczeniem na schronisko dla młodzieży szkolnej, udanie harmonizuje z otoczeniem. Jest dwupiętrowe, ze strzelistym dachem. W okresie międzywojennym dostępne było dla członków PTT, którzy mieli tu zastrzeżoną pewną ilość miejsc noclegowych. Szczęśliwie przetrwało okres zawieruchy wojennej a po wyzwoleniu przez szereg lat służyło jako strażnica graniczna WOP. Dopiero w 1962 r. budynek przekazany został przez użytkującą go jednostkę Polskiemu Towarzystwu Turystyczno-Krajoznawczemu. W 1973 r. schronisko przekazano w administrację zrzeszenia Gospodarki Turystycznej PTTK, która przeprowadziła modernizację.

„Trzy Korony" czynne są cały rok i chętnie odwiedzane przez turystów. Wieś Sromowce, podług legendy założona przez jeńców tatarskich, położona jest niezwykle malowniczo na lewym brzegu Dunajca, u wylotu Przełomu Pienińskiego. Od północnej strony nad Sromowcami Niżnymi górują wspaniałe szczyty Trzech Koron. Charakterystyczne dla krajobrazu tej miejscowości są ławice kamieńców nadrzecznych, skały oraz strome, zalesione stoki.

Jak się tam dostać? Autobusem PKS należy dojechać do Sromowiec Niżnych, skąd bez znaków idzie się ok. 20 min drogą. Można też dotrzeć pieszo z Krościenka nad Dunajcem, kierując się znakami żółtymi przez przełęcz Szopka (Chwała Bogu) i Wąwóz Sobczański. Wędrówka trwa ok. 1,5 godziny.

— *Posiadamy 67 miejsc noclegowych* — informuje kierowniczka schroniska, **Helena Marcinkowska** — *w pokojach od dwuosobowych (takich mamy dwa) i wieloosobowych. Są cztery „trójki", sześć „czwórek", jeden pokój dziesięcioosobowy, reszta to 5- lub 6-osobowe. Za pokój dwuosobowy płaci się u nas 1400 zł za dobę, za 3-osobowy — 1200 zł, za 4-osobowy — 1100 zł, nocleg w pokoju wieloosobowym kosztuje 900 zł. Prowadzimy wyżywienie całodzienne turystów, z tym, że na obiad na ogół jest podawana jedna zupa i jedno drugie danie. Jak w innych schroniskach mamy bufet turystyczny, prowadzimy sprzedaż pamiątek, słodyczy i napojów. Jedną z wielkich zalet schroniska jest posiadanie ciepłej wody. Natomiast szwankuje łączność. A jest to jedyny telefon w okolicy. Ostatnio przez dwa tygodnie nie mieliśmy łączności ze światem. Nie daj Boże, żeby się wówczas komuś coś stało! Kolejnym naszym zmartwieniem jest brak dojazdu. Ostatnio woda zerwała mostek na potoku i dojście do nas jest jedynie w bród. Stąd też mamy problem z dowozem żywności, napojów. Interweniowałam w urzędzie gminy. Scedowali sprawę na sołtysa. A sołtys z kolei nie ma pieniędzy.*

(Rz.)

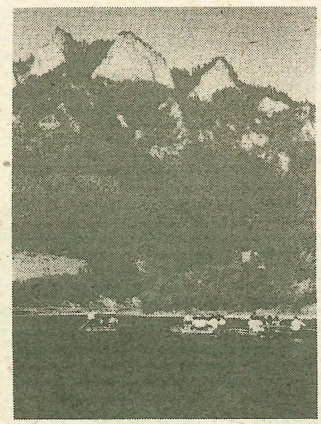

Fot. JERZY ŻAK

Sądeczanie na „Hungaroringu"

Pod wodzą trenera **Witolda Stasiuka** i jego asystenta **Edwarda Kleindiensta** przebywała na Węgrzech piłkarska reprezentacja Polski juniorów do lat 16. Brała ona udział w tradycyjnym turnieju juniorów **„Hungaroring"**. W **reprezentacji występowali dwaj młodzi piłkarze KKS „Sandecja"** — bramkarz **Sławomir Olszewski** i napastnik **Rafał Liber** (obaj rocznik 1973). O wrażenia z turnieju poprosiliśmy jednego z nich.

— *Był to ciekawy występ* — mówi **Sławomir Olszewski** — *i choć w sumie zajęliśmy 5. miejsce, ze swojego występu jestem zadowolony. Trzeba też podkreślić miłą i serdeczną atmosferę, jaka panowała w naszym zespole. Rozegraliśmy cztery mecze. Ich wyniki: z CSRS 0:2, z Finlandią 0:0, z gospodarzami turnieju — Węgrami zremisowaliśmy 2:2 i wreszcie w ostatnim naszym występie odnieśliśmy zwycięstwo nad Izraelem 1:0. Ja grałem w dwóch meczach — z Finlandią i Węgrami. Swój występ uważam za udany. Natomiast jeszcze lepiej grał Rafał Liber, który wystąpił we wszystkich spotkaniach będąc silnym punktem naszej reprezentacji. Po zgrupowaniu w ośrodku sportowo-rekreacyjnym LKS „Igloopol" w Straszęcinie (1 — 10 sierpnia) reprezentacja nasza wyjeżdża na dwa mecze towarzyskie z Rumunią. Sądzę, że wśród wyjeżdżających będziemy obaj.* (r)

Polak rdzewieje!

Ducha w narodzie wprawdzie nie brakuje, ale kołacze się on w nader mizernej powłoce fizycznej. Kryzysowy nastolatek, owszem, wyciąga się w górę, ale co drugi ma wady postawy, co piąty płaskostopie, co dziesiąty kłopoty ze wzrokiem.

Większość młodych Polaków nie uprawia żadnego sportu, nawet zresztą gdyby chcieli to — gdzie te boiska, korty, baseny, hale sportowe? Gorzej, że prawie połowa młodzieży nie zna w ogóle pojęcia *turystyka*. Aż 46,5 proc. osób w wieku 15-29 lat nigdy w swoim życiu nie było na żadnej pieszej włóczędze, rajdzie, spływie, kilkudniowej wycieczce na łono natury.

Te przygnębiające dane przytaczam za GUS, który uświadomił nam także, że aż 40 procent młodych ludzi nie potrafi pływać, tyle samo jeździć na łyżwach, a jeszcze więcej, bo ponad 70 procent, nigdy nie przypięło nart. Jedno co jeszcze nam jako tako wychodzi, to jazda na rowerze (96 proc. ankietowanych posiadło tę umiejętność), co nie znaczy oczywiście, że każdy ów pojazd posiada. Po pierwsze — rowerów brakuje, po drugie — ich cena równa jest cenie „malucha" przed dziesięciu laty. A więc i rowerowe wędrówki są przywilejem nielicznych.

Przyczyn tego zatrważającego stanu rzeczy wiele. Poziom wychowania fizycznego w naszych szkołach jest żenująco niski. Brakuje wszyskiego: nauczycieli, sal gimnastycznych, elementarnego sprzętu. Skutki nie każą na siebie czekać. Rośnie nam cherlawe i gnuśne pokolenie, które nie ma zielonego pojęcia, jak wygląda wschód słońca nad jeziorem, które nie przespało nocy pod namiotem, które nie zna uroków pieszej włóczęgi.

Trudno wprost uwierzyć, że aż 70 procent uczestników gusowskiej ankiety nie ma w ogóle czasu, aby zajmować się sportem i turystyką (a tak odpowiedziała większość uczestników ankiety). Programy szkolne są, o czym wszyscy wiemy, przeciążone ponad wszelką miarę, ale nawet tę luźną godzinę w sobotę czy niedzielę młody Polak spędza na ogół gapiąc się bezmyślnie w telewizor.

Z niejakim zażenowaniem trzeba też przyjąć tłumaczenia 40 procent respondentów, że nie wiedzą kto, gdzie i jak zajęcia sportowe czy aktywny wypoczynek organizuje. Nikt nic nie wie, czeski film!

Bardziej już do przekonania trafia natomiast fakt, na który zwróciło uwagę 26,2 procent ankietowanych, że czynny wypoczynek na świeżym powietrzu kosztuje coraz drożej. I na to już po prostu nie starcza rodzinnych pieniędzy. Rzeczywiście, skompletowanie podstawowego bodaj ekwipunku turystycznego (plecak, śpiwór, butla, menażki, o dobrych butach, kariamacie czy „sztormiaku" już nie wspominając) kosztuje dzisiaj majątek!

A poza tym trafić na te dobra w sklepie sportowym to tak, jak wygrać los na loterii! Na te braki narzeka zresztą 21,4 procent uczestników ankiety. Skarżą się oni, że odpowiedniej jakości sprzętu po prostu nie sposób kupić. Jest, owszem do wyboru do koloru na bazarach. Kogo jednak na robienie tam zakupów stać?

W rezultacie młodzi Polacy spędzają wolny czas w sposób często bezmyślny, jałowy: ławka na skwerku, papieros, butelka piwa... nierzadko się to, jak w pisence ... *To wszystko z nudów, Wysoki Sądzie!*. Socjologowie mówią o tym z trwogą, podkreślając, że znaczna część młodzieży nie odczuwa w ogóle żadnej potrzeby obcowania z przyrodą, kontaktu z naturą. Nikt ich tego nie nauczył. A oni sami nie wiedzą co tracą.

JAN SKALNY

TADEUSZ STUDZIŃSKI

STADNINA GUBERNATORA (2)

W dzień dość mocno wiało, a wieczorem wyciszyło się do lekkiego tylko powiewu. Volksdeutsch, a z nim tragarze, czekali po słowackiej stronie na chmury i wiatr, jak załadowane żaglowce w portach przed wyjściem w morze. Tak zapewne rozumował Volksdeutsch. Ale nam się spieszyło w Tatry i Silny chciał skusić szczęście nawet przy księżycu.

Słowacka Droga przebiegała działem wodnym, pomiędzy Spytkowicami i Małą Sidziną. Grzbiet nie był wówczas zabudowany ani uprawiany po stronie słowackiej. W czasie okupacji biegł nim ulubiony szlak kontrabandy. Ze słowackiego Podwilka można było przejść bezludną granicę dwanaście kilometrów, aż pod Jordanów. Obładowany tragarz musiał wejść na Słowacką Drogę na północ od starej karczmy, której budynek bieleje samotnie na Spytkowickiej Przełęczy. Tam mieściła się do roku 1918 komora graniczna pomiędzy Węgrami i Galicją. Właśnie w to miejsce wybrał się Silny z dwoma towarzyszami. Musieli iść szybko, bo do granicy było ponad godzinę drogi. Z tego powodu wymarsz do Zakopanego przesuwał się o jedną dobę.

Już od południa Silny tak długo przytaczał mi korzystne argumenty przedsięwzięcia, iż w końcu uzyskał zgodę na zasadzkę. Podobno hurtownik nosił krótką maszynę, więc w przypadku spotkania jego partii mieliśmy szansę powiększenia uzbrojenia „Kurniawy".

— Jeżeli interes wyjdzie, to tym chłopom, co mi go nadali — musimy dać trochę towaru — powiedział Silny na pożegnanie.

Przypomniałem sobie, że dwudziestoczteroletni eks-przemytnik zwolnił się niedawno z obozu „Chełmu" dla jakichś ważnych spraw rodzinnych w Bystrej. Z bliższej rozmowy okazało się, że już wówczas czatował na Volksdeutscha dwie noce. Zanim nas wczoraj odnalazł, zapadł gdzieś w krzakach przy granicznym dukcie i na próżno czekał do świtu. Do pomocy wziął kilku cywilnych kompanów, których uzbroił z prywatnego arsenału.

Uważałem, iż lepiej podskubać ukraińskiego Volksdeutscha, niż żywić pluton za darmochę u polskich gospodyń. Choćby to byli nawet bogaci garbarze. Obawę zdemoralizowania co młodszych partyzantów odrzucałem, bo w okresie wojny było to śmiesznością. W partyzantce służyli w większości tacy, którzy od dawna jedli chleb z niejednego pieca. Ważne było natomiast kontrolowanie prywatnych wypadów niektórych partyzantów. Nigdy nie wymuszałem na ludności danin w żywności. Taką żebraninę uprawiały głównie te oddziały, które z różnych przyczyn nie opuszczały pewnej okolicy. Z drugiej strony odczuwaliśmy chroniczny brak pieniędzy, bo przecież żołdu nie dostawaliśmy. Przynajmniej ja go nie pobierałem. Ofiarność gospodarzy i patriotyczny gest fundatora miały swoje granice. Z tych przyczyn łaknęliśmy nieustannie sutego talerza. Trudno przecież prosić o masło lub słoninę w biednej chałupie, skoro dzieci nie miały często nawet chleba. Oddział rajdujący bez pieniędzy musiał więc żebrać, żeby żyć. Tylko własny fundusz pozwalał poruszać się wśród ludzi bez ich lamentów i żalu za rekwizycje.

Po wyjściu grupki Silnego drzemaliśmy na ławach i podłodze. Nasz dzisiejszy domek stał blisko słowackiej granicy. Zagrody sąsiadów leżały w pewnym oddaleniu i tylko po jednej stronie, widzianej z okien. Z trzech innych kierunków były odkryte polany, pozwalające z daleka spostrzec każdy ruch. Za dnia nie widzieliśmy wokół żywego ducha. Dopiero gdy ciemność otuliła lasy, okolica jakby ożyła. Od razu zaczęły się dziać różne cudeńka i trudno było zmrużyć oko. Żbik stał ukryty w krzaku bzu, przed sztachetami ogródka i co pewien czas szeptał w uchylony lufeik:

— Ktoś biegł lasem... Przeszło trzech zachodnią polaną... Słyszę wystrzały... W zagajniku zaryczała krowa... Przechodzą z bydłem na Słowację... Panie poruczniku, szczeka wilczur w biegu... Może puścili go z placówki i idą za nim?

Wystawiłem ucho przez okno. Istotnie, krótkie skomlenie tropiącego psa przesuwało się za wzgórzem, jakby kogoś poszczuto. To był obcy głos w przygranicznych szmerach, bo przemytnicy nie handlowali psami.

Tymczasem wszedł księżyc i wytoczył się ponad las. Widać go było z okna. Odtąd nie mogłem usnąć; siedziałem w poprzek łoża i patrzyłem jak księżyc rośnie i bieleje. Obok mnie leżało wzdłuż łóżka dwoje

Obrót eskimoski

Lipcowa niedziela w Krościenku nad Dunajcem u podnóża Pienin. Atmosfera pikniku. Na obu brzegach rzeki mnóstwo ludzi, młodzi, dzieci, starsi. Wszyscy przepychają się, stają na palce, by zobaczyć, co dzieje się na wodzie. A tam klasyczny slalom w kajakarstwie górskim. W spienionej, kotłującej się kipieli migają kajaki, wiosła, czerwone i niebieskie kaski. To wynurzają się z wody, to w niej giną. *Obrót eskimoski* — to taki manewr, gdy kajakarz wstaje jak wańka wstańka, by dalej walczyć z wodnym żywiołem, torować sobie drogę do bramek, przez które koniecznie trzeba przepłynąć nawet wtedy, gdy oznacza to wiosłowanie pod silny prąd górskiej rzeki...

* * *

Sekcja kajakowa **Spółdzielczego Klubu Sportowego „Sokolica"** stanowi dziś chlubę miasteczka. Krościenko nad Dunajcem leżące w widłach ujścia rzeki Krośnicy do Dunajca szczyci się właśnie kajakarzami, choć w klubie „Sokolica" działa jeszcze sekcja piłki nożnej.

Sam klub założony został w 1953 r. Taka data widnieje na pięknej rzeźbionej tablicy bogato inkrustowanej gwoździami, wbitymi z okazji jubileuszu, a wiszącej w sekretariacie klubu.

Przed laty wizytówką „Sokolicy" byli hokeiści na... trawie. W 1961 r. występowali nawet w drugiej lidze, co stanowi największy sukces w historii klubu, jeśli chodzi o gry zespołowe. Sekcji onegdaj było więcej. „Sokolica" posiadała lekkoatletów, pingpongistów i szachistów. Umierały te sekcje śmiercią naturalną, a to najzwyczajniej w świecie z braku funduszy, niedoboru oddanych sprawie działaczy bądź też rezygnacji z uprawiania sportu przez samych zawodników.

* * *

Wkrótce Krościenko pozazdrościło kajakowej sławy Szczawnicy, którą — nie bez racji — uważa się za kolebkę polskiego kajakarstwa górskiego. W lutym 1964 roku **Helena** i **Józef Zabrzescy** — dziś już nieżyjący — poczynili pierwsze starania organizacyjne, zmierzające do powołania nowej sekcji w „Sokolicy". Wkrótce też kajakarzom z „Pienin" przybył nowy — godny rywal, zaś pod okiem trenerów: **Tadeusza Nowaka, Stefana Kapłaniaka** — popularnego „Cenka" i **Bronisława Warusia** poczęły szlifować swe umiejętności młode gwiazdy. Pracę szkoleniową zaczęto bowiem od najmłodszych. Od juniorów, kolejno, etapami, do wychowania seniorów. Najobfitszy plon podczas jednych tylko mistrzostw Polski w kajakarstwie górskim i zjeździe zebrali krościeńczanie w 1975 r. Przywieźli wówczas ni mniej ni więcej tylko 44 medale, w tym aż 14 złotych. To był piękny rok — wspominają dziś w klubie.

* * *

Pierwszym trenerem kajakowym w „Sokolicy" był **Tadeusz Nowak.** Spod jego ręki wyszło wiele talentów. W maju 1964 r. pierwszy dla klubu tytuł mistrzyni Polski — w kategorii juniorek młodszych — wywalczyła w zjeździe **Anna Wojska. Anna Zasadnia** — w tym samym roku — została wicemistrzynią kraju.

Po Nowaku funkcję szkoleniowca w klubie objął słynny **Stefan Kapłaniak,** trzykrotny olimpijczyk, mistrz świata w kajakarstwie płaskim i 30-krotny mistrz Polski. Na marginesie — wsławił się on nie lada wyczynem. Oto w 1973 r. postanowił przepłynąć Dunajec pod prąd. Wsiadł w kajak w Nowym Sączu i po 118 kilometrach wiosłowania, w cztery dni później był już w Nowym Targu.

* * *

Schedę po Kapłaniaku przejął w 1968 r. **Bronisław Waruś,** 5-krotny mistrz Polski seniorów. Pracuje on w „Sokolicy" po dziś dzień, z krótką przerwą w latach 1980-83, kiedy to odszedł na własną prośbę. Sam do niedawna jeszcze startował — choć i wiek już nie „juniorski" — wychodząc zwycięsko z konkurencji z dużo młodszymi przeciwnikami.

Bronisław Waruś rozpoczynał karierę zawodniczą w roku 1949 a zakończył w 1970. Czterokrotnie brał udział w mistrzostwach świata. W Augsburgu w 1957 r. w konkurencji k-1 x3 wywalczył brązowy medal. W austriackiej miejscowości Spittal w 1963 r., startując w tej samej konkurencji zdobył „srebro", równoznaczne z wicemistrzostwem świata. W pięć lat później otrzymał tytuł „Zasłużonego mistrza sportu".

W pracy szkoleniowej również postawił na młodzież. Dzięki temu na rwących wodach Dunajca mogli spróbować swych sił uczniowie szkół z Krościenka, Tylki, Tylmanowej i Grywałdu. Zanim jednak do tego doszło trzeba było — jak to zwykle przy takich okazjach — przełamać wiele uprzedzeń i oporów zarówno ze strony rodziców jak i nauczycieli. Udało się i wkrótce były też wyniki. Bronisław Waruś wspólnie z innymi instruktorami m.in. **Marią Ćwiertniewicz, Marianem Kordeczką, Wiesławem Słomczewskim, Janem Jankowskim, Stanisławem Chrobakiem** wychował wielu dobrych zawodników. Ich nazwiska poznać można z kart starannie opracowanej monografii klubowej, która czeka na wydanie. Miała być wydana w ub. roku — na jubileusz 35-lecia działalności „Sokolicy" — nie udało się. A jubileusz? — *Żadnej pompy nie było* — mówi urzędujący sekretarz klubu, **Maria Dyda** — *lecz uroczyste zebranie sprawozdawcze.*

* * *

Najcenniejsze trofea w historii klubu wywalczył **Stanisław Majerczak.** Wychowanek trenera Bronisława Warusia dwukrotnie startował w mistrzostwach świata i tyleż razy powracał ze srebrnym medalem. Pecha miał w Szwajcarii, w Muotathal. Tylko jedna niezaliczona bramka pozbawiła go „złota". Zadecydował wówczas brak rutyny. A było to w 1973 r. W dwa lata później, w Skopje powtórzył swój wyczyn wracając do kraju ze srebrnym krążkiem.

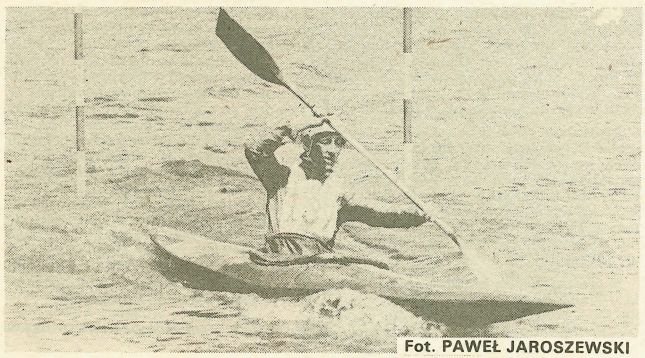

Fot. PAWEŁ JAROSZEWSKI

* * *

Od 1975 r. notujemy regres wyników w sekcji kajakowej. Pewne nadzieje wiązano z przyjściem do pracy w „Sokolicy" olimpijki i mistrzyni świata, **Marii Ćwiertniewicz.** Była „swoja". Tu mieszkała, tu urodziła się, sto metrów od brzegu Dunajca. Przez rok była zawodniczką a jednocześnie instruktorką. Związana z kajakami na 18 lat, w swym ostatnim starcie w mistrzostwach Polski — właśnie w barwach „Sokolicy" — zajęła 6. miejsce. Jako instruktorka nie odniosła jednak sukcesów. Wyjechała z kraju.

* * *

Dziś kajakarzy szkoli nadal **Bronisław Waruś,** trener I klasy, pomaga mu instruktor **Ryszard Wojtarowicz.** Jest jeszcze trenerka — **Maria Zachwieja,** ale przebywa na urlopie bezpłatnym. Sekcja sprawuje opiekę nad młodzieżą trzech szkół: w Krościenku, w Tylmanowej — gdzie Bronisław Waruś ma pod okiem 20 osób i w Sromowcach Wyżnych. W Sromowcach ćwiczy grupa około 20 młodych kajakarzy. Zajmuje się nimi **Wojciech Kowalczyk,** nauczyciel w tamtejszej szkole. Gdyby tak zliczyć wszystkich, to kajakarstwo uprawia w klubie około 70 osób.

Passę złych wyników sekcji w skali ponadkrajowej miał szansę przełamać w 1986 r. **Marek Głuc,** który uczestniczył wówczas w mistrzostwach świata juniorów. Potrącona bramka wyeliminowała go jednak z walki o medal.

W tym roku SKS „Sokolica" Krościenko posiada w kadrze narodowej trzech seniorów. Są to: **Zbigniew Zacher, Tadeusz Udziela** i **Bogusława Knapczyk.** Cała trójka wywalczyła notabene na początku lipca tytuły mistrzów okręgu. W kadrze narodowej juniorów na rok 1989 znaleźli się: **Beata Sejud** (też aktualna mistrzyni okręgu), **Paweł Walkowski, Paweł Głuc, Krzysztof Jandura** i **Artur Gaweł.**

* * *

Klubowi prezesuje **Wojciech Grzywnowicz,** szefujący miejscowej „Cepelii" — największemu zakładowi Krościenka nad Dunajcem. Sama sekcja kajakowa bardzo wiele zawdzięcza **Eugeniuszowi Cisowskiemu,** znanemu działaczowi Polskiego Związku Kajakowego. Pracą klubu kieruje sprawnie **Maria Dyda.** Ona to informuje mnie o dotacjach dla klubu:

— *Jesteśmy klubem spółdzielczym, zatem dotuje nas Rada Główna „Start". Dotacje te są jednak znikome. Na ten rok dostaliśmy — z przeznaczeniem wyłącznie na sekcję kajakową — 1,4 mln złotych. Piłkarzy utrzymujemy sami. Patronuje nam miejscowa spółdzielnia cepeliowska „Pieniny". Prowadzimy też działalność gospodarczą — mamy bazę noclegową w budynku klubowym i kiosk pamiątkarski przy ul. Jagiellońskiej.*

* * *

Kłopotów — jak wszędzie tak i tu — nie brakuje. Kajak fabrycznie nowy, dobrej klasy, kosztuje na Zachodzie w granicach 400-600 dolarów. W kraju kajak z włókna diolenowego — ok. 400 tys. złotych. Koszt zakupu kajaka szklanego — 150 tys. zł. W Polsce jedynymi producentami kajaków są: **Henryk Popiela** w Nowym Sączu i **Krzysztof Polaczyk** w Szczawnicy.

* * *

Osobny problem to baza dla kajakarstwa górskiego. W miarę urealniania się budowy zbiornika wodnego na Dunajcu, będzie można wytyczyć najkorzystniejsze tereny do uprawiania sportów wodnych. Zlecona została do opracowania odpowiednia dokumentacja. W Sromowcach Wyżnych ma powstać nie tylko tor do regat kajakowych, ale też i zaplecze treningowe, hangary na kajaki, pomieszczenia klubowe oraz rozległy kompleks rekreacyjno-turystyczny.

Warunkiem dołączenia kajakarzy krościeńskich i szczawnickich do światowej czołówki jest budowa sztucznego toru. Naturalne wody Dunajca są, niestety, zbyt łatwe.

JERZY RZESZUTO

---

dzieci, z których jedno gorączkowało. Z jego twarzyczki bił żar, co wyczuwałem wierzchem dłoni. Matka przychodziła do chorego co pewien czas i podawała mu kilka łyków wody z cukrem. Niestety, nie mieliśmy żadnych medykamentów. Zresztą czy wiadomo, co by mu pomogło? Kto z nas myślał o lekarstwach w ciągłych marszach? Austriacki zegar z wagami leniwie odmierzał czas zardzewiałym tik-tak, tik-tak... Co pół godziny zgrzytało coś w jego wnętrzu i odzywał się ochryple, jak stary kogut. W mdłym blasku księżyca, który przeciekał do izby pomiędzy doniczkami, widziałem, jak chłopcy się wiercą na siedzeniach. W łóżku i na ławie nie starczało miejsca dla wszystkich. Leżeli więc lub siedzieli na podłodze, trzymając karabiny w kolanach i opierali plecy o ściany. Głowy mieli zwieszone, brodami dotykali piersi. Drzemali krótko, budzili się i znów głowy leciały im w dół. Chwilami słyszałem, jak ten i ów drapie się przez ubranie. Ktoś tarł plecy o futrynę drzwi długo i bezskutecznie. Sąsiad obudzony szmerem, pożałował druha i wsadził mu rękę za kołnierz.

— Nie tam, nie tam... Trochę niżej...Jeszcze niżej... O, tu, tu! Niech ci Bóg da zdrowie — szepnął z ulgą podrapany.

— Żeby to była mysz, to bym ci ją złapał — odpowiedział samarytanin.

Teraz prawie każdy ze słuchających znalazł na sobie jakieś swędzące miejsce i poruszyło się kilka ciał. Proszku DDT nie znaliśmy i nawet o nim nie słyszeliśmy. Co chwilę przykrywałem chore dziecko, gdy rozkopywało pierzynę. Obawiałem się o nie, bo przez uchylone okno przeciągał izbą chłód. Niby drzemaliśmy, a uszy chwytały każdy szmer.

— Wyszło z lasu chyba dziesięciu — powiedział nagle Żbik z okna. — Idą prosto na nas. Co robić?

Bez wezwania wszyscy się obudzili i przesunęli rękami po broni. Otworzyłem szerzej okno. Oświetlonym polem szło kilka rozsypanych sylwetek. Trzeba zgadnąć, kto? Czy swoi?

— Stój cicho, jakby nas tu nie było — szepnąłem do Żbika.

Goście okazali się niegroźni, bo nie otaczali domu. Tajemnicza wataha stanęła pod ogródkiem i usłyszałem głos:

— Uwaga mołojcy! Tu gdzieś czekają pastuchy Wiarusa. Nastraszymy ich. Ja krzyknę „rraus banditen"! Narobią w pory, jak babcię kocham.

Kiedy podeszli do płotu uprzedziłem dowcipnisiów i rykłem:

— Halt! Haende hoch!

Skutek był do przewidzenia. Trzech wyrwało do tyłu, reszta stała zamurowana. A wówczas objechałem ich trochę:

— Co za głupie kawały! Nie straszcie nigdy, bo się krew bratnia poleje. Z którego wy oddziału?

— Z „Halniaka", panie poruczniku — odpowiedział jeden poznańskim akcentem. — Tu Cygan z rozkazu Boruty.

Cygan poznał mnie po głosie. Pochodził z Zachodniego Pomorza. Służył w Wehrmachcie do lata 44 r. Zdezerterował w Sidzinie, gdzie przyjechał na urlop, do dalekiej rodziny. Początkowo był kuchcikiem w „Chełmie", a po kilkunastu dniach chodził już na wyprawy. Miał opinię odważnego partyzanta. Dziś szedł do jakiegoś konfidenta. Już trzeci raz do niego zachodzili. Cygan gwizdnął na swoich uciekinierów, którzy stali na skraju lasu. Wkrótce weszli do izby z nietęgimi minami.

— Mówiliście o Wiarusie — przypomniałem sobie. — Gdzie on jest.

— Wybiera się na robotę — nieprawda? — rzekł Cygan. — Jego chłopak jest z nami. Słyszeliśmy jak tupał w grudę i dogoniliśmy.

— Który to, pokażcie — spytałem.

— Podejdź bliżej! O, ten zuch, niepraa... — mówił Cygan z poznańska i popchnął chłopca do świecy, którą teraz zapaliliśmy.

Był to pucołowaty parobczak, może osiemnastoletni, trochę speszony. W pasie owinięty zwojem postronków, w ręku trzymał rzemienny bykowiec. Na nogach nosił trepy z drewnianą podeszwą. Z wyrazu twarzy przypominał ostatnie pokolenie folwarcznego sługi. Zahukane, ludzkie stworzenie.

— Skąd jesteś? — spytałem go.

— Ja służę w toporzyskim dworze, przy koniach — odpowiedział.

— Kiedy Wiarus będzie w Toporzysku?

— Mam go czekać do północy — odrzekł. — Ale nie w tej chałupie, a dalej, u mojego chrzestnego.

— Idziesz na akcję wojskową — zauważył Puma — a nie wiesz, że w twoich meblach olszowych, to cię nawet żółw dogoni?

— Takie dali Niemcy w naszym Liegenschafcie — tłumaczył chłopiec.

W tej chwili Żbik, nie wychodząc z krzaka, zameldował zbliżanie się trzech obcych od granicy.

— Cziu, cziu, cziu... — usłyszeliśmy z pola partyzanckie hasło.

To Silny, wracał z zasadzki. Wydało mi się, że zbyt prędko...

Ciekawe, jak im poszło? Wyszedłem do sieni, aby nie rozmawiać z Silnym przy wszystkich. Już po jego głosie poznałem, że spudłowali. Doszedł z izby Puma.

(ciąg dalszy nastąpi)

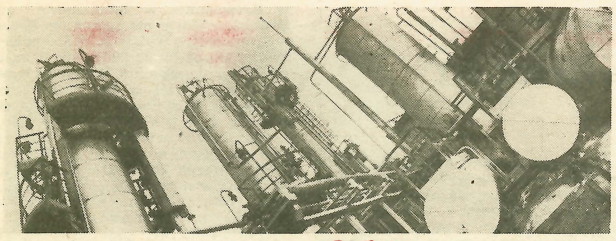

Sprawy Glimaru

Efekty półrocznej pracy

Na odbytym 20 lipca zebraniu Rady Pracowniczej przedstawiciele dyrekcji i załogi mówili m.in. o ekonomicznych wynikach pierwszego półrocza, barierach krępujących samodzielność przedsiębiorstwa i działaniach na rzecz ochrony środowiska. Oto najważniejsze z poruszanych tematów.

● Planowany na pierwsze półrocze przerób ropy naftowej wykonano w 97,4 proc., przetwarzając ponad 75 tys. ton surowca o wartości (w cenach realizacji) 24 mld złotych. Osiągnięto zysk 1 mld 130 mln zł, z czego zysk do podziału — 631 mln 788 tys. zł, które przeznaczono na fundusz socjalny, mieszkaniowy, nagrody z zysku, fundusz inwestycyjny, podatek od wynagrodzeń, itp. W omawianym okresie pracowało w Rafinerii 890 osób, o 8 więcej niż zakładał plan zatrudnienia. Średnie wynagrodzenie — z „czternastką" — wynosiło 92 532 zł, a bez „czternastki" — 81 775 zł. W pierwszym przypadku pensje stanowiły 227,5 proc. wynagrodzenia z analogicznego okresu roku ubiegłego. Na fundusz płac przeznaczono 490 mln zł, czyli 223,1 proc. sumy z porównywanego okresu zeszłego roku.

● Podobnie jak inne przedsiębiorstwa tego typu, zakład do tej pory nie ma ustalonej przez ministra finansów stawki podatku obrotowego. Opracowany przez Radę Pracowniczą w maju plan budżetowy oparto na prowizorycznych szacunkach. W marcu ukazała się ustawa oddająca w ręce ministra finansów kompetencje do indywidualnego ustalania stawek podatku obrotowego na wyroby branży naftowej. Na zebraniu przedstawicieli zainteresowanych firm z pełnomocnikiem ministra finansów, jakie odbyło się miesiąc temu w budynku Ministerstwa Przemysłu — obiecano, że wysokość podatku zostanie ustalona niezwłocznie. Do tej pory jednak sprawa nie została wyjaśniona, Rafineria działa więc w „ciemno", nie mogąc dokładnie przewidzieć, jakie będą finansowe wyniki działalności produkcyjnej.

Problem jest tym bardziej skomplikowany, że rafinerie z terenu Polski południowej, jako przestarzałe, mają gorsze wskaźniki efektywności od gdańskiej czy płockiej petrochemii, natomiast intencją ministra finansów było, ujednolicenie stawek podatkowych na poszczególne wyroby. W interesie „Glimaru" i innych małych przedsiębiorstw tego typu leży, aby podatek obrotowy uwzględniał różnice efektywności. Spośród ponad 80. wyrobów gorlickiej Rafinerii tylko kilka obciążonych jest omawianym podatkiem — w ten sposób niegdyś uproszczono obliczanie zobowiązań finansowych wobec skarbu państwa. Taki system uderza jednak w zakłady (między innymi i „Glimar"), które produkują duże ilości wyrobów objętych podatkiem.

Niepewność co do wysokości podatku obrotowego — ostatecznie więc i zysku przedsiębiorstwa — niesie dla Rafinerii jeszcze inne niebezpieczeństwo. W czerwcu podniesiono płace. O ile nie zmniejszy się stawka podatku — możliwe, że zakład będzie musiał zapłacić około 600 mln zł (i to z zysku!) za przekroczenie dopuszczalnego pułapu wzrostu wynagrodzeń. Grozi to ograniczeniem środków przeznaczonych na fundusz rozwoju, w efekcie — opóźnieniem planowanej modernizacji.

● Ostatecznie zaniechano prac przy spalaczu. Przeprowadzone dotychczas próby rozruchu uwidaczniały jedynie coraz liczniejsze wady tego urządzenia; nawet gdyby wydać duże sumy na usprawnienie spalacza, nie gwarantowałoby to jego poprawnej pracy. W związku z tym „Glimar" zażądał od Instytutu Chemii Przemysłowej — autora założeń technicznych — zwrotu poniesionych nakładów.

Sprawdziła się w praktyce technologia utylizacji kwaśnych odpadów porafinacyjnych, rozpoczęto starania, by w podobny sposób zagospodarować zawartość dołów kwasowych. Przedsiębiorstwo weszło w kontakt ze spółką innowacyjno-wdrożeniową, która pomoże przy opracowywaniu odpowiedniej technologii i budowie urządzeń.

Skoro nie uda się uruchomić spalacza, który miał utylizować gazy pooksydacyjne, należy zneutralizować je w inny sposób. Podjęto starania, by zakupić urządzenia wychwytujące tego rodzaju gazy. Opracowaniem i skonstruowaniem takich urządzeń zajmie się gdańska spółka.

● Wznawiają produkcję nie funkcjonujące w pierwszym półroczu instalacje „Barisol" i krezolownia, w ciągu najbliższych tygodni powinny dochodzić do zaplanowanej zdolności produkcyjnej. Przedłużający się remont „Barisolu" spowodowany był kłopotami z niską jakością krajowych urządzeń, mających zastąpić zużyte podzespoły instalacji.

● Rada Pracownicza pozytywnie zaopiniowała wniosek o przyznanie odznaczeń państwowych trzem długoletnim pracownikom „Glimaru": **Teresie Maciejak, Edwardowi Gliście** i **Aleksandrowi Trzaskosiowi.**

● Nie miano zastrzeżeń do przedstawionego przez dyrektora przedsiębiorstwa projektu podziału nagród za realizację wniosków racjonalizatorskich i nagród za drugi kwartał.

● Dyskutowano nad przeznaczeniem i podziałem funduszu efektów wdrożeniowych na nagrody za projekt i zastosowanie technologii regeneracji zużytych olejów transformatorowych. Cały fundusz przypadnie kilkudziesięcioosobowemu zespołowi, który opracował i wdrożył tę unikalną metodę odzyskiwania cennego oleju.

20 lipca miało się odbyć zebranie delegatów załogi. Ponieważ nie przyszła wymagana ilość delegatów, zebraniu nadano charakter roboczy. Nie podjęto żadnych wiążących decyzji, zasygnalizowano jedynie kilka problemów.

● Zaproponowano, by obowiązujące dotychczas kwotowe dodatki za pracę w godzinach nocnych i w święta — zmienić na dodatki procentowe. Wynagrodzenie zależałoby wówczas od stawki podstawowej danego pracownika.

● Padł wniosek, by „czernastkę" za bieżący rok wypłacać już teraz, ratami (pozwala na to odpowiednia ustawa) — a nie dopiero po rocznym bilansie, co ze względu na inflację jest dla pracowników niekorzystne.

● W związku z tym, że — najprawdopodobniej — na fundusz socjalny będzie można przeznaczać dowolną część wypracowanego zysku — zaproponowano, by każdy zatrudniony mógł skorzystać z „wczasów pod gruszą". Świadczenie to objęłoby tylko pracownika, a wysokość zwrotu kosztów wynikałaby z aktualnych diet i ryczałtów za noclegi.

Kolumnę „Sprawy Glimaru" redaguje JANUSZ WÓJCIK

Historia pracą pisana

Całe życie zawodowe — wspomina **Władysław Dobek**, prowadzący narzędziownię w wydziale mechanicznym — związałem z „Glimarem". Gdy przyszedłem do zakładu w 1945 roku, warsztat mechaniczny był częściowo zniszczony przez bombę, musieliśmy go odbudowywać. Kiedy sobie przypomnę Rafinerię z tamtych lat — widzę, jak wiele się w niej zmieniło, choć nadal uważana jest za zakład przestarzały. Niegdysiejszych instalacji nawet nie można przyrównywać do tych, które mamy dziś. Teraz używa się przede wszystkim urządzeń i napędów elektrycznych, mechanicznych, a wtedy pracowały jeszcze pompy parowe, w warsztacie mechanicznym mieliśmy jedną tokarkę, napędzaną transmisją. Remonty wykonywaliśmy siłą zakładowych brygad, materiałów na naprawy nie sprowadzaliśmy z daleka — jak dziś, nie śniło się nawet o ich imporcie. Z drugiej strony jednak urządzenia, jakie naprawialiśmy, były prostsze. Przez wiele lat po wojnie nie mieliśmy pomieszczeń socjalnych. Po pracy ręce myliśmy w wiadrach, wodę trzeba było donosić z najbliższego wodociągu, nikt nie słyszał o takim luksusie jak łazienka i natryski. Całe socjalne zaplecze — w tamtych latach stanowiły szafki, w których trzymaliśmy czystą i brudną odzież.

Pomimo ciężkich warunków, ludziom chciało się pracować. To jedno, czego dziś można pozazdrościć tamtym czasom. Choć była bieda, a zarobki niskie, nikt nie myślał o porzuceniu jednej roboty i szukaniu innej. Bardzo często zostawaliśmy w zakładzie po dniówce, żeby odgruzowywać, pomagać przy odbudowie — bezpłatnie. Nikt nie wymigiwał się od tego, ludzie chcieli pracować dla wspólnego dobra, wkładali w robotę umiejętności i serce.

Inaczej niż dziś wyglądała nauka. Pracowaliśmy do godziny 13, potem mistrz podbijał „kontrolkę" i... dopiero szło się do szkoły, trzy razy w tygodniu. Móc się uczyć — to było wtedy wyróżnienie. A wielu młodych przyjęto wówczas do Rafinerii, w samym tylko warsztacie mechanicznym pracowało nas z dziesięciu.

W zakładzie, pod okiem mistrza, opanowywaliśmy tajemnicę ślusarstwa, kowalstwa, tokarstwa. Musieliśmy dokładnie wykonywać każde polecenie mistrza. Jeśli ktoś się wyłamywał z dyscypliny, obijał, to — choć istniał już wówczas kodeks pracy — dostawał po prostu po gębie (a majster rękę miał ciężką) i znów był posłuch. Gdy i to nie skutkowało, delikwent lądował za bramą, bez pracy.

W latach pięćdziesiątych nie odczuwaliśmy — żyjąc z daleka od stolicy i najważniejszych wydarzeń politycznych — złych stron ówczesności. Nadal wysoko ceniona była rzetelność. Rafineria obrastała szybko w nowe instalacje: powstał m.in. „Barisol", wydział destylacji rurowo-wieżowej, zaczynaliśmy produkcję nowych wyrobów. Działające w przedsiębiorstwie organizacje zawodowe i polityczne miały wielki autorytet, człowiek wiedział, że może się do nich zwrócić o pomoc, nikt nie bojkotował pierwszomajowego święta pracy. Lata sześćdziesiąte może były mniej łaskawe dla zakładu, nie budowało się już tak wiele, przyniosły jednak ludziom stabilizację. Sklepy nie świeciły pustkami tak jak dziś, człowiek pracy mógł sobie pozwolić na odłożenie pieniędzy, których starczało na skromne, ale spokojne życie. Coś zaczęło się psuć dopiero w następnym, krzykliwym dziesięcioleciu. W pogoni za coraz większą produkcją gdzieś zaginął człowiek i jego zdolne ręce, choć wpajano nam, że Polak potrafi. Mija już kolejne dziesięć lat i widać, że trudno będzie odbudować dawny szacunek do pracy.

Gdy byłem młody, zostawałem często po godzinach, żeby jak najwięcej zarobić — wiadomo: żona, dzieci, budowa domu. Teraz trudno poderwać młodzież do wysiłku, a dobry zarobek kojarzy się jej z wyjazdem za granicę. Ale i dziś można by zachęcić ludzi do wydajnej pracy, trzeba jednak sporo zmienić . Młodzi muszą odczuć, że ich zawód to majątek, bo daje utrzymanie, a gdy nastanie szacunek do pracy, to i nasz pieniądz nabierze wartości.

Ogłoszenie

TKZ NSZZ „Solidarność" Pracowników Rafinerii Nafty „Glimar" w Gorlicach informuje:

Rozpoczynamy kampanię wyborczą w naszej organizacji zakładowej. W pierwszym etapie wybrane zostaną komisje wydziałowe i oddziałowe, przewodniczący, zastępcy i członkowie tych komisji. W drugim etapie wybierzemy komisję zakładową. Przewodniczącego oraz zarząd komisji oddziałowej wybierze walne zebranie członków organizacji danego oddziału. Wybory zostaną przeprowadzone w sposób tajny i demokratyczny, do komisji oddziałowej kandydować może każdy.

Zakładowe telefony

Gdy dzwonić do „Glimaru", w słuchawce wpierw odzywa się głos: „Rafineria, słucham". Trzeba teraz podać numer wewnętrzny — choć niekoniecznie, bo obsługująca centralę **Krystyna Roman** zna niemal wszystkich pracowników przedsiębiorstwa i doskonale wie, jak się z nimi skontaktować. To zrozumiałe, pani Krystyna pracuje w rafineryjnej łączności już 35 lat. — *„Zdzieram" trzecią centralę, choć — to ona raczej mnie przetrzyma, już niedługo będę musiała rozstać się z pracą. Trochę szkoda, bo warunki, jakie mamy teraz, są bez porównania lepsze niż dawniej. Proszę rozglądnąć się po pokoju: wytłumione ściany, czysto, w oknach firanki, kwiaty, obsługa ruchu telefonicznego sprowadza się do manipulowania kolorowymi przyciskami na niewielkiej konsoli. Przedtem, przed modernizacją, siedziałyśmy przy „sznurówkowej" centrali, praca polegała na żmudnym wtykaniu kabla — „sznurówki" w odpowiednie gniazdo. Takie urządzenia widzi się czasem na filmach.*

Dzwoniący do nas zazwyczaj są uprzejmi i rzeczowi, bez problemu więc łączymy ich z żądanymi numerami. Zdarza się jednak — choć na szczęście rzadko — że ktoś odzywa się arogancko, trudno zrozumieć, o co mu chodzi. Wówczas trzeba być opanowanym, przemawiać do rozmówcy spokojnym głosem. To zazwyczaj pomaga. Zdarzają się też zabawne pomyłki.

Przez 25 lat funkcjonowała w „Glimarze" centrala „Strondger 32 AB". Chcąc usprawnić wewnętrzną łączność, pięć lat temu rozpoczęto montaż nowej centrali — licencyjnej „Pentaconty 18 E", do której można podłączyć 400 aparatów telefonicznych, wymieniono też i powiększono sieć kablową. Równocześnie unowocześniono tzw. łączność dyspozytorską, dzięki której dyrektor zakładu ma bezpośredni konakt z poszczególnymi działami. Koszt całej inwestycji wyniósł 50 milionów złotych. Nie były to pieniądze zmarnowane: zakładowa sieć telefonów usprawniła obieg informacji, pozwala błyskawicznie porozumiewać się w rozległym przedsiębiorstwie. Poprawiła się też jakość dźwięku, nikt już — tak jak niegdyś — nie przekrzykuje szumów w słuchawce.

„Pentaconta" ma swoje (wcale niemałe) wymagania. Dlatego utrzymanie jej w stałej sprawności powierzono trzem doświadczonym konserwatorom: **Benedyktowi Kurzawie, Maciejowi Drance** i **Bogusławowi Łuczejce.**

Głos Glinika

Wydział na peryferiach

Wydział urządzeń wiertniczych jest najbardziej oddalony od centrum fabryki, a w dodatku jego hale znajdują się w różnych miejscach. Nie ułatwia to życia ani kierownictwu, ani załodze. Często korzystają więc z „meleksa", żeby nie tracić czasu na wędrówki po nie najlepszych — zwłaszcza w słotne dni drogach.

W wydziale pracuje 146 osób. Podstawowym produktem są urządzenia wiertnicze do poszukiwania ropy, gazu i wody. Ponadto montuje się tu skrzynie przekładniowe średniej mocy (niezbędne dla przenośników taśmowych w kopalniach węgla), urządzenia wiertnicze wraz z całkowitym osprzętem i od zeszłego roku — strugi.

Mówi **Jan Kokoczka**, kierownik sekcji planowania: — *W ubiegłym roku robiliśmy dwa komplety strugów w kooperacji z zachodnioniemiecką firmą Halbach-Braun, która dostarczała nam część podzespołów. W bieżącym roku produkujemy już cztery komplety strugów węglowych. Nadal część podzespołów otrzymujemy z RFN, ale liczymy na to, że po jakimś czasie będziemy mogli zrezygnować z importu i sami wytworzymy potrzebne nam elementy. Strug węglowy, to wyrób bardzo opłacalny dla fabryki, gdyż jest wysoko przetworzony, a przy tym nie za bardzo materiałochłonny.*

W wydziale urządzeń wiertniczych załoga jest ustabilizowana. Pracują tu ludzie z dużym stażem, znakomici fachowcy, przede wszystkim ślusarze, spawacze i monterzy konstrukcji stalowych. — *Nie narzekamy na brak ludzi* — zapewnia kierownik Kokoczka — *wręcz przeciwnie: wielu ślusarzy chciałoby do nas przyjść. Praca jest w naszym wydziale ciekawa, urozmaicona. Ślusarze nie robią seryjnych elementów, ale pojedyncze sztuki. Wymaga to dużej fachowości i stałej uwagi. Ludzie czują się odpowiedzialni za poszczególne wyroby, bo wytwarzają je od początku do końca. Większość załogi „Glinika" stanowią chłopi-robotnicy, a więc w okresie prac polowych odnotowuje się dużą absencję. Jednak w naszym wydziale wcale tego nie odczuwamy, ludzie pracują w systemie brygadowym i sami tak sobie układają harmonogramy urlopów, żeby produkcja nie ucierpiała w najmniejszym stopniu.*

Nie ma róży bez kolców, a więc i w wydziale urządzeń wiertniczych nie brakuje trudności. Podstawową jest brak wielu niezbędnych elementów, np. zasuw, podkładek, śrub. Kuleje też kooperacja międzywydziałowa, gdyż tokarze niechętnie podejmują się pracy przy pojedynczych elementach niezbędnych dla wydziału wiertniczego. Im się to po prostu nie opłaca, ale z drugiej strony trudno zmontować obudowę zmechanizowaną LOB czy BOK i uzbroić w hydraulikę siłową bez koniecznych podkładek czy śrub... Szefowie z wydziału urządzeń wiertniczych muszą więc prosić, grozić, odwoływać się, aby otrzymać niezbędne części. Na szczęście, trudności wprawdzie nie pozwalają na spokojną i rytmiczną pracę, ale nie powodują przestojów.

Warunki socjalne nie są najlepsze: szatnie, pomieszczenia, w których można spożyć posiłki, umywalnie znajdują się w barakach. Rośnie jednak w oczach budynek, w którym obok pokoi biurowych znajdzie się część socjalna dla załogi. Wkrótce wydział ogrzewany będzie przez zakładową elektrociepłownię, bo na razie robiły to elektryczne dmuchawy. — *Dobrze, że ostatnia zima była lekka, bo byśmy wszyscy pozamarzali* — mówią pracownicy.

Obecnie w wydziale trwają prace przy trzech wiertnicach UP200, z których dwie zostaną w kraju, a jedną sprzeda się do Czechosłowacji. Warto wiedzieć, że produkcja wiertnicy dużej, ważącej około 250 ton (N25 lub N40) trwa średnio rok, małe można zrobić w ciągu kwartału, pod warunkiem, że się solidnie przyłoży do pracy.

Mieczysław Mierzwa, ślusarz i monter wiertniczy pracuje pod gołym niebem już od dwudziestu lat: — *Nie sposób montować olbrzymie wiertnice w hali, bo tak dużej nie ma na terenie fabryki. Na płycie, gdzie składamy wiertnice, pracuje stale pięć osób. Robimy podczas upałów i mrozów (dwa lata temu temperatura dochodziła do minus 28 stopni Celsjusza!), najgorsze są jednak jesienne słoty, bo woda wlewa się za kołnierz, buty są mokre, a w takich warunkach trzeba robić osiem godzin. Na szczęście jeszcze stawy mam zdrowe... Co chciałbym zmienić na swoim stanowisku? Dobrze byłoby ustawić na płycie nożyce do cięcia blachy, to ułatwiłoby i usprawniło nam pracę. Denerwują mnie też przerosty administracyjne w zakładzie. Osobiście znam czterech panów, którzy od lat nic nie robią i tylko kłują swoją bezczynnością ludzi w oczy. Może lepiej byłoby wysłać tych „urzędników" do domu i płacić im, po co mają drażnić robotników...*

— *Zgadzam się, że nie w każdym wydziale jest uzasadniona ilość tzw. „pracowników umysłowych"* — przyznaje Jan Kokoczka — *ale nadmiernej biurokracji jesteśmy winni wszyscy. Na przykład, żeby zwykły sworzeń czy inny drobny element trafił w ręce tego, kto go zamontuje do urządzenia — muszę wydać kilka kwitków i odebrać tyleż pokwitowań, bo w przeciwnym wypadku element ten mógłby się zawieruszyć... Jeden pracownik wziąłby sworzeń do kieszeni, zaś drugi kopnął nogą. Muszę więc zatrudniać dziewczynę, który wypisuje kwity na poszczególne elementy. Dopóki wszyscy nie uświadomimy sobie, że odpowiadamy za fabrykę i powierzony nam sprzęt, dopóty ktoś musi tego pilnować.*

Wyjaśnienie

W tekście zamieszczonym na łamach tygodnika „Dunajec" z 23 lipca br. pominąłem w swojej wypowiedzi bardzo ważną sprawę. Otóż w trakcie kampanii wyborczej przed drugą turą wyborów moja kandydatura uzyskała poparcie sądeckiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność". Inicjatywa poparcia powstała wśród robotników — członków „Solidarności" w wydziale przeze mnie kierowanym. Uzyskała szeroką akceptację w całym zakładzie.

Komisja Zakładowa „Solidarność" przedstawiła opinię na mój temat na posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego w Nowym Sączu, gdzie zaprezentowano także opinię na temat mojego kontrkandydata — Stanisława Zięby. Komitet Obywatelski podjął decyzję wyrażoną później w postaci ulotki. To poparcie jest dla mnie szczególnie cenne, ponieważ traktuję je jako dowód, że otwartość w myśleniu, zachowanie własnej osobowości oraz właściwego stosunku do ludzi pracy są wyżej cenione niż kolor legitymacji.

Przy okazji tego wyjaśnienia dodam, że w okresie między pierwszą a drugą turą wyborów byłem współinicjatorem pierwszego w „Gliniku" spotkania wszystkich sił politycznych i społecznych działających w naszym zakładzie oraz podobnego spotkania w Gorlicach. Spotkania te — oprócz celu zjednoczenia sił w wyborach — stały się okazją do nawiązania rzeczowej współpracy w sprawach dotyczących zakładu i miasta. Ustalono m.in. sposób udziału przedstawicieli Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" w Gorlicach w pracach miejscowej Miejskiej Rady Narodowej oraz sposób organizacji spotkań wszystkich sił w ważnych sprawach dla środowiska. Ruch społeczny firmowany przez „Solidarność" stopniowo zajmuje swoje miejsce w oficjalnej rzeczywistości.

Poseł na Sejm
MIECZYSŁAW BRUDNIAK

Pomóżmy młodym

Apel zakładowego społecznego inspektora pracy oraz zarządu Związku Zawodowego Pracowników FMWiG „Glinik"

Po zakończeniu roku szkolnego wielu absolwentów szkół zawodowych rozpoczęło pracę w naszym zakładzie. Każdy z nich — często wbrew pozornej obojętności — czuje niepewność, czy podoła przydzielonym mu zadaniom, jak przyjmie go tutejsze środowisko i czy praca, którą będzie wykonywał, okaże się bezpieczna. Podobne rozterki przeżywał każdy z nas, pierwsze dni w zakładzie na długo zostają w pamięci. Dobrze więc, jeśli młody człowiek spotka życzliwych mu ludzi, którzy w okresie wchodzenia w dorosłe, zawodowe życie okażą wyrozumiałość i pomoc. Zwracamy się o okazanie tej pomocy.

Od lat stosujemy formę listownego zwracania się do młodych ludzi rozpoczynających pracę w naszym zakładzie. W takich listach szczególną uwagę poświęcamy sprawie bezpiecznej pracy. Prosimy wszystkich zatrudnionych w „Gliniku" — szczególnie tych doświadczonych, dobrze znających zagadnienia bhp, zwracamy się do mistrzów i dozoru — o zainteresowanie młodzieżą, przekazywanie jej zasad bezpiecznej pracy i tych informacji, które zdobyć można w ciągu długoletniego stażu.

Znane są przypadki niedostatecznego zainteresowania problemami młodych pracowników przez osoby odpowiedzialne z racji pełnionych funkcji za prawidłową adaptację młodzieży. Tym bardziej dziękujemy wszystkim, którzy bezinteresownie pomagają młodym przejść ten trudny okres, dając dobre wzory do naśladowania.

Wam, młodzi, radzimy z uwagą i wdzięcznością przyjmować dobre rady starszych. Życzymy bezpiecznej, dającej dużo zadowolenia pracy.

Z historii fabryki

Styczeń 1945 roku. Armia Radziecka przynosi wolność powiatowi gorlickiemu. Fabryka Maszyn i Narzędzi Wiertniczych w Gliniku Mariampolskim jest zrujnowana przez okupanta. Park maszynowy i zapasy magazynowe wywiezione, pozostały jedynie budynki fabryczne. Oddział samochodowy i obrabiarek — zniszczony prawie zupełnie.

Ustawa o nacjonalizacji przemysłu mobilizuje robotników „Glinika" do odbudowy fabryki. Powstaje pierwsza Rada Zakładowa z Łukaszem Nowackim jako przewodniczącym. Robotnicy pracują po kilkanaście godzin na dobę, bez regularnych zarobków. Tadeusz Totus z Ignacym Raczkiem, Zbigniewem Ciprą, Władysławem Szufnarą, Zygmuntem Olszańskim i innymi tworzą brygadę aprowizacyjną, a Władysław Lepak i Tadeusz Strzępek czynią starania o niezbędną żywność.

Jak wspominają Michał Przybyłowicz i Józef Szlachcic — na oddziale obrabiarek wykonywało się wtedy części zamienne do samochodów: cylindry i tłoki. Brygada robotników wyjeżdża pod Jasło i buduje gazociąg, aby zapewnić fabryce dopływ energii. Wielu innych, w ramach akcji rewindykacyjnej, wyrusza do Zabrza i Oświęcimia, poszukując części parku maszynowego, zrabowanego przez hitlerowców. Pod koniec 1945 roku mamy już w zakładzie 162 obrabiarki uzyskane w drodze rewindykacji i w wyniku zakupu.

Przez trzy lata ogromnego wysiłku zdołano odbudować fabrykę glinicką. Wspólnie z Rafinerią Nafty zorganizowano Straż Pożarną, otwarto świetlicę, powstał zespół artystyczny, chór, kino.

Wkrótce fabryka staje się jedynym w Polsce zakładem produkującym maszyny i narzędzia do wierceń naftowych i węglowych. Na początku lat pięćdziesiątych rozpoczęto nową w Polsce produkcję świdrów gryzakowych, koronek gryzakowych, zworników, obciążników obrotowych, wież wiertniczych (na licencji ZSRR). Stopniowo wprowadza się produkcję kompletnych zespołów wiertniczych obrotowych i udarowych, a także łańcuchów tulejkowych.

Fabryka systematycznie rozbudowuje się i modernizuje. Co roku przybywa nowa inwestycja: najpierw oddział narzędziowni (w 1953 r.), oddział konstrukcji stalowych, w rok później nowoczesna hala dla wydziału narzędzi rotacyjnych i łańcuchowni, które mieściły się dotąd w dzierżawionym budynku.

Zakład otrzymuje nazwę: Fabryka Maszyn i Sprzętu Wiertniczego i podlega resortowi górnictwa. Produkcja globalna zakładu, która w 1938 roku wynosiła 900 ton, już w 1948 sięgała 1809 ton.

Wyroby „Glinika"

Fabryka Maszyn Wiertniczych i Górniczych „Glinik" jest wytwórnią o ponad 100-letniej historii, która odegrała znaczącą, a przede wszystkim pionierską rolę w zakresie mechanizacji prac wiertniczych. Jako jedna z pierwszych w Europie i na świecie, fabryka rozpoczęła wytwarzanie świdrów, urządzeń sprzętu wiertniczego, przekształcając się stopniowo z zakładu remontowego w nowoczesne przedsiębiorstwo.

Aktualny program produkcji urządzeń wiertniczych w „Gliniku" oraz kierunki jego dalszego rozwoju uwzględniają potrzeby w zakresie wierceń geologiczno-poszukiwawczych, hydrogeologicznych oraz dla górnictwa węglowego i skalnego.

Oferta fabryki zawiera: kompletne urządzenia wiertnicze do wierceń obrotowych i udarowych; osprzęt wiertniczy; narzędzia wiertnicze do wierceń obrotowych i udarowych; elementy przewodu wiertniczego; łańcuchy tulejkowo-rolkowe jedno- i wielorzędowe; wyroby dla górnictwa węglowego; odkuwki matrycowane i swobodnie kute.

Większość wyrobów dla górnictwa oparta jest na własnych rozwiązaniach konstrukcyjnych, stanowiących często orginalne patenty. Prowadzona systematycznie modernizacja konstrukcji wyrobów zgodna jest z kierunkiem rozwoju światowego wiertnictwa i zmierza do podwyższenia ich trwałości i niezawodności w pracy.

„Glinik" od dwudziestu lat specjalizuje się także w produkcji wyrobów przeznaczonych dla górnictwa węglowego. Nowoczesne obudowy zmechanizowane typu „Glinik"; dzięki dużej różnorodności odmian i wersji konstrukcyjnych, znajdują zastosowanie i gwarantują bezpieczną i ekonomiczną eksploatację węgla we wszystkich warunkach górniczo-geologicznych.

Prowadzone systematycznie modernizacje obudów i optymalizacja ich konstrukcji uwzględnia wszystkie życzenia użytkowników oraz jest zgodna z kierunkami rozwoju górnictwa światowego, zmierzającymi do wzrostu podporności, przystosowania do pracy w podkładach o dużych nachyleniach, w podkładach tąpiących itp.

Dla potrzeb górnictwa węglowego fabryka produkuje indywidualne stojaki hydrauliczne, obudowy osłonowe do pokładów niskich i średnich, lekkie obudowy kroczące, skrzynie przekładniowe i inne wyroby stanowiące elementy technicznego wyposażenia kopalń.

Pensje, diety, przywileje

Projekt podniesienia ryczałtu wypłacanego posłom do Rikstagu na pokrycie kosztów ich publicznej działalności nie jest wcale ukrytą formą podwyżki poselskich płac — twierdzi przewodniczący szwedzkiego parlamentu, Thage G. Peterson, odpierając zarzuty posłów komunistycznych. Dodatkowe 1500 koron miesięcznie (około 230 dolarów) wypłacane z dotychczasową kwotą około 350 dolarów rekompensuje tylko rzeczywiste koszty ponoszone przez deputowanych na poselskie podróże, telefony, reprezentację, pomoc biurową itd.

Uposażenia poselskie i poselskie przywileje wzbudzają — jak widać — emocje nie tylko w Polsce. Po części wynika to z faktu, iż system poselskich płac, dodatków, zwrotu kosztów, różnych bezpłatnych świadczeń — obowiązujący praktycznie na całym świecie — jest bardzo skomplikowany i właściwie trudno powiedzieć dokładnie, ile poseł zarabia. Nawet jeśli ktoś pokusi się o wyliczenie precyzyjnej kwoty, to i tak nie oddaje ona rzeczywistych dochodów, właśnie ze względu na szeroki zakres bezpłatnych usług, różnych ułatwień i ulg. Nie inaczej jest w krajach skandynawskich.

Zasadnicza płaca poselska w Szwecji jest nieco tylko wyższa od średniej krajowej i stanowi mniej więcej równowartość 2000 dolarów. Podobne uposażenia otrzymują deputowani w Danii i Finlandii, z tym że w tym drugim kraju wysokość pensji zależy od długości poselskiego stażu. O około 1/4 wyższe są podstawowe pensje posłów w Norwegii. Sumy te należy jednak powiększyć o diety przyznawane za każdy dzień obrad parlamentu i poselskich komisji — od 10 do 30 dolarów dziennie — w Finlandii i Norwegii, lub o wyliczane w skali rocznej dodatki, uzależnione od miejsca zamieszkania posła. Na przykład w Danii, w zależności od odległości od Kopenhagi, wahają się one od 2 do 6 tys. dolarów. Również w Szwecji wspomniany zwrot kosztów jest wyższy dla posłów spoza Sztokholmu niż dla mieszkańców stolicy. Diety te rekompensują tylko wydatki związane z kosztami utrzymania, we wszystkich czterech krajach posłom przysługuje bowiem prawo bezpłatnego korzystania praktycznie rzecz biorąc ze wszystkich publicznych środków transportu, od metra poczynając, na krajowych liniach lotniczych kończąc.

Kolejną część dochodów posłów stanowią świadczenia na rzecz technicznego i biurowego „zabezpieczenia" ich pracy poselskiej oraz mieszkania w stolicy. Koszty utrzymania biur, telefonów itd. ponoszą w Danii, Finlandii i Norwegii macierzyste partie posłów, z tym że w Danii deputowany otrzymuje na te cele od 7 do 15 tys. dolarów. W Norwegii posłowie mają możliwość wynajęcia w Oslo umeblowanych mieszkań, w Sztokholmie bezpłatnego zamieszkania w najbliższym sąsiedztwie gmachu parlamentu. We wszystkich krajach skandynawskich posłowie płacą podatki tak jak pozostali obywatele, tyle tylko, że w Szwecji poseł płaci podatki od całości świadczeń pieniężnych, jakie otrzymuje, w pozostałych krajach tylko od uposażenia zasadniczego.

Kończąc temat finansów należy dodać kilka słów o prawach posłów do emerytury. W Danii przysługuje ona w pełnym wymiarze, to jest w wysokości około 2/3 pensji poselskiej po 8 latach zasiadania w Folketingu od chwili ukończenia przez byłego posła 67 roku życia, w Finlandii po 15 latach (po ukończeniu 60 lat), w Norwegii po 12 (po ukończeniu 65 lat). Minimalny okres potrzebny do nabycia praw emerytalnych wynosi w Norwegii 3 lata, w Finlandii — dla posłów zasiadających w Eduskuncie krócej niż 15 lat — emerytura jest proporcjonalnie niższa. Jedynie w Szwecji posłowie nie mają prawa do specjalnej emerytury, uzyskują tylko dodatkowe punkty do normalnego systemu emerytalnego.

Podobnie jak w kwestiach finansowych, zakres przywilejów i immunitetów posłów krajów skandynawskich jest do siebie bardzo zbliżony. We wszystkich czterech krajach poseł nie może być odwołany przez wyborców, sam natomiast może zrezygnować z mandatu. Dotyczy to Danii, Szwecji (za zgodą Rikstagu) oraz Finlandii (z bardzo istotnych przyczyn lub w związku z powstaniem przeszkód prawnych uniemożliwiających mu sprawowanie funkcji).

Pozbawienie mandatu jest natomiast możliwe w różnych przypadkach. W Szwecji dotyczy to skazanych przez sąd w sprawach o przestępstwa kryminalne, podobnie w Norwegii oraz Finlandii, przy czym w tym ostatnim kraju istnieje również możliwość pozbawienia mandatu posła zaniedbującego swe obowiązki. Decyzję w tej sprawie podejmuje parlament większością 5/6 głosów.

W trzech krajach nordyckich istnieje wymóg rezygnacji z mandatu z chwilą objęcia pewnych stanowisk. I tak w Szwecji dotyczy to członków rządu, w Norwegii pracowników administracji państwowej (ale nie członków rządu) oraz sądownictwa i dyplomacji, w Finlandii członków Sądu Najwyższego, ministrów i ich zastępców *ombudsmanów* i wojskowych w służbie czynnej, w Danii nie ma w tym względzie żadnych ograniczeń.

Posłowie w krajach skandynawskich nie są natomiast objęci pełną nietykalnością. Członek parlamentu może zostać aresztowany w Danii w przypadku zatrzymania na gorącym uczynku, deputowany fiński po decyzji sądu lub po zatrzymaniu na gorącym uczynku, przy popełnianiu czynu zagrożonego karą co najmniej 6 miesięcy więzienia. W Szwecji ta granica wynosi 2 lata. W Norwegii poseł Stortingu może zostać aresztowany, o ile jego wina jest oczywista, a dotyczy przestępstwa pospolitego.

PIOTR CEGIELSKI

Pozostał nam listek figowy

Najbliższa ciału jest koszula. Wiemy o tym aż nazbyt dobrze. Bo od dłuższego czasu bielizny dziennej — i to zarówno damskiej, jak i męskiej — dotkliwie w sklepach brakuje. Zwłaszcza zaś tej najbardziej poszukiwanej — z bawełny.

Przewiduje się, że w tym roku powinno na rynku pojawić się 191 milionów sztuk bielizny dziennej (ze stylonu, bawełny, sztucznego jedwabiu, elanobawełny). Niby nieco więcej niż w ubiegłych latach, ale gołym okiem trudno to będzie zauważyć. Pomożemy sobie importem, po którym jednak obiecywać sobie zbyt wiele nie można, z reguły nie przekracza on bowiem 10 proc. dostaw rynkowych.

Jakby więc nie liczyć, na głowę statystycznego Polaka przypadają w tym roku cztery z kawałkiem sztuki bielizny dziennej. Mniej niż mało. Trzeba będzie dobrze uchodzić sobie nogi, by kupić majtki damskie czy męskie slipy. Wystarczy powiedzieć, że handel określa tegoroczne zapotrzebowanie na figi i reformy damskie na około 35 mln sztuk. I choć te szacunki nie wydają się zawyżone, przewidywane dostawy na rynek nie przekroczą 22-25 mln sztuk. Nie lepiej będzie ze slipami i kalesonami. Handel chciałby ich mieć w sprzedaży przynajmniej 14 mln par. A jak dobrze pójdzie, może liczyć na 8 — 8,5 mln sztuk.

Bielizny szytej z tkanin (głównie koszule nocne i pidżamy) też ma być nieco więcej niż w ubiegłym roku, bo 32 miliony sztuk, ale nie zaspokoi to w pełni wszystkich naszych potrzeb.

Handlowcy wydeptują ścieżki do fabryk. A producenci bielizny (czternaście fabryk państwowych i około czterdziestu zakładów spółdzielczych) odmawiają kryzysową litanię: brak surowca, ludzi do pracy, maszyny ledwo zipią. Rząd próbował ratować sytuację: składał zamówienia (na bieliznę dziecięcą), podpisywał z fabrykami umowy na dodatkowe dostawy (między innymi damskich majtek właśnie). No ale jaki rynek jest każdy widzi.

Jest to zresztą fragment większej całości. Przemysł lekki, który wcale nie jest taki lekki, robi bokami. Trzy jego podstawowe branże: włókiennicza, odzieżowa i skórzana znalazły się, jak wszystko dookoła w głębokim kryzysie. Większość maszyn i urządzeń ledwo się kręci (szacuje się, że ich zużycie sięga 70-80 proc.). Rozpaczliwie brakuje surowców: obecnie 60-70 tys. ton rocznie. Główny powód: brak dewiz na zakup bawełny czy wełny, a także skór. Toteż na przykład produkcja tkanin, włókien chemicznych jest obecnie niższa o 10-20 proc. niż przed dziesięciu laty.

Przyszłość nie zapowiada się różowo. Wprawdzie opracowano nowy program rozwoju przemysłu lekkiego na lata 1990-1995, ale mina rzednie kiedy dowiadujemy się, że jest to siódmy z kolei tego typu dokument sporządzony w ostatnich ośmiu latach. Jak ktoś gorzko zauważył: przybywa nam makulatury a nie towarów. Programy zawsze mieliśmy niezłe. Gorzej było z ich realizacją.

Uzdrowienie przemysłu lekkiego zakłada przede wszystkim zmodernizowanie parku maszynowego, a także używając biurokratycznego języka rozwój bazy surowcowo-materiałowej. Na to wszystko trzeba jednak pieniędzy i to dużych (głównie twardej waluty). Skąd je weźmiemy to już temat na osobne opowiadanie. Planuje się w każdym razie, że w ciągu owych pięciu lat produkcja włókien sztucznych ma wzrosnąć o 52 tys. ton, przędzy bawełnianej o 35 tys. ton, zaś wełnianej o 10 tys. ton. Co roku powinno być na rynku o 5-6 proc. więcej wyrobów dziewiarskich, pończoszniczych i odzieżowych, tak aby w 1995 roku ich dostawy wzrosły o jedną trzecią.

Na pełne półki przyjdzie więc nam jeszcze długo poczekać. Na razie wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że pozostał nam tylko listek figowy.

JAN SKALNY

PRZETARGI

„Społem" Spółdzielnia Handlowo-Usługowa w Nowym Sączu al. Wolności 19 sprzeda w drodze PRZETARGU NIEOGRANICZONEGO:

samochód marki „Star" furgon 28, nr podwozia 103776, nr silnika 81810, stopień zużycia 60%, cena wywoławcza 3.342000 zł.

Przetarg odbędzie się w dniu 10. VIII. 1989 r. o godz. 10 w Dziale Transportu „Społem" Spółdzielnia Handlowo — Usługowa w Nowym Sączu, al. Wolności 19.

Przystępujący do przetargu zobowiązani są wpłacić wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej w kasie Spółdzielni Handlowo-Usługowej w godz. od 10 do 12 najpóźniej dzień przed przetargiem. Pojazd można oglądać dzień przed przetargiem i w dniu przetargu w godz. 8 — 9 przed budynkiem Spółdzielni przy al. Wolności 19.

oraz sprzeda w drodze przetargu nieograniczonego:

silnik spalinowy Typ S-530, rok prod. 1986, nr silnika 133715, stopień zużycia 60%, cena wywoławcza 1.258400 zł.

Pozostałe warunki jak w przypadku samochodu.

Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyny.

K-8328

Ogłoszenia drobne

Agencja Ochrony w Tarnowie poleca instytucjom i osobom prywatnym swoje usługi w zakresie: ochrony osób, ochrony mienia, usług detektywistycznych z gwarancją solidności, skuteczności i dyskrecji działania. Informacji udziela biuro Agencji: Tarnów, Parkowa 16, tel. 21-04-02 czynne w godzinnach 8 — 10 i 18 — 19.

CZYSZCZENIE dywanów, wykładzin — Kamiński, Nowy Sącz tel: 220-77. D-52265

ZATRUDNIĘ szklarza na pół etatu, najchętniej rencistę. Stary Sącz tel: 601-47. D-52272

POLONIA — cudzoziemcy — atrakcyjne fotooferty matrymonialne. Kraków 39, skrytka 23. gk/o/74/80194

SZWAJCARZY — Włosi — poślubią Polki. Kraków 39, skrytka 23. gk/o/73/80193

NOWY SĄCZ i okolice! Mechaniczne czyszczenie dywanów, wykładzin, tapicerki — Sowiński, tel: 219-60.

ZAMIENIĘ M-5 w Sosnowcu na podobne w okolicy Nowego Sącza, Krynicy, Sosnowiec, tel: 69-56-72. D-52257

ZAKOPANE! Połowę domu (wolne mieszkanie), place koło cmentarza — sprzedam. Tel. 55-83-26. g-35993

SPRZEDAM grępiarnię do wełny oraz samochód Audi 100 diesel. Wiadomość: Nowy Sącz, Piękna 28. D-52273

Wojewódzki Zakład Usług Wodnych dla Potrzeb Rolnictwa w Nowym Sączu z / w Starym Sączu ul. Źródlana 24 tel. 604-76, 604-77

PRZYJMUJE DO REALIZACJI WYKONYWANIE STUDNI KOPANYCH

z kręgów ⌀ 1000 mm i ⌀ 1200 mm, ⌀ 1500 mm.

Zakład prowadzi również sprzedaż kręgów oraz nakryw nastudziennych zbrojonych ⌀ 1250 i 1450 mm.

Zamówienia należy składać na wymieniony wyżej adres zakładu.

k-8200

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Lucyna Kaszuba, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Pałka, (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (z-ca sekretarza redakcji), Michał Sroka (redaktor techniczny), Anna Szopińska. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, al. Wolności 49, telefony: 238-36, 238-90, teleks: 0322748, Oddział w Krakowie, ul. Wielopole 1, pok. 502, telefon: 22-75-88 wewn. 161, telex: 0322491. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Kraków al. Pokoju 3.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2 Kraków, telefon 22-70-89 oraz wszystkie biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657.

Prenumeratorzy indywidualni w miastach dokonują wpłat na poszczególne kwartały bieżącego roku: do 28 lutego na II kwartał, do 31 maja na III Kwartał, do 31 sierpnia na IV kwartał.

M-9

na ekranie TV

PIĄTEK — 4 VIII

PROGRAM I

8.50 „Domator"
9.00 „Zielone teleferie"
9.30 Kino Teleferii: „Arabella"
10.00 DT — wiadomości
10.10 DT — reforma gospodarcza
10.25 „Zdarzenia na szosie E-4" — komedia obycz.
15.50 „Domator"
16.50 Program dnia
16.55 „Mieszkać"
17.15 Teleexpress
17.30 „Kolumbowie" (3)
18.30 „Szkoła mistrzów" — Barbara Sass
18.50 „Bez granic"
19.00 „Dobranoc „Przygody Gapulki"
19.10 „Monitor rządowy"
19.30 Dziennik
20.05 „Cudzoziemka" — film
21.45 Kroniki PAT — Tak było...
22.00 „Czas" — mag. publ.
22.30 DT — echa dnia
22.45 „Świat jaki jest" — „Magnaci heroiny" — ser. dok.

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 „Konwój"
19.00 „Wzorcowa lista przebojów M. Niedźwieckiego
19.30 „Dookoła świata" — „W Panamie"
20.00 „Piątek" — Krakowski przekładaniec kulturalny
21.30 Panorama dnia
21.45 Filmy z Humphreyem Bogartem — „Konwój" — prod. USA
23.55 Komentarz dnia

SOBOTA — 5 VIII

PROGRAM I

8.00 „Tydzień na działce"
8.20 „Na zdrowie"
8.55 Program dnia
9.00 Kino teleferii: „Przygody dobrodusznego smoka"
10.20 VIII Światowy Festiwal Polonijnych Zespołów Folklorystycznych — Rzeszów '89
10.30 DT — wiadomości
10.40 „Stare, nowe, najnowsze"
11.25 „Wilanów w powstaniu warszawskim"
12.05 „Śladami Odyseusza" (6)
12.45 Telewizyjny teatr prozy z cyklu: „Mówi Chandler" „Długie pożegnania" (1)
14.00 „Premie i premiery" — recital Sinitty
14.30 Komedie, komedie, komedie... „Milion za Laurę"
16.05 Losowanie Dużego Lotka
16.15 „Butik"
16.45 Teleexpress
17.00 Studio sport
19.00 Dobranoc „Przygód kilka wróbla Ćwirka"
19.10 **„Z kamerą wśród zwierząt"**
20.05 „Rozległa kraina" — film
21.45 „Tydzień w polityce" — komentuje Karol Szyndzielorz
21.45 Teatr telewizji — Jarosław Hašek — „Spotkania ze Szwejkiem" (4)
22.15 Telewizyjny przegląd sportowy
22.35 Piknik country — Mrągowo '89
23.40 Telegazeta
23.45 Kino sensacji: „Zabójstwo bez zapłaty" — film prod. japońskiej

PROGRAM II

10.15 Trzy godziny z TV Katowice
13.15 „Konkurs 5 milionów"
14.00 „W świecie ciszy"
14.25 Telewizyjny koncert życzeń
14.55 Powitanie
15.00 „Ordy" — „Alfred Wegener — dryfowanie kontynentów" — serial
15.25 „Spektrum"
15.40 „Afrykańskie wodopoje" — film przyrodniczy
16.05 „Zielony świat" — „Filozofia przyrody"
16.35 „Wszechobecne mięczaki" (1) — film przyrodniczy
16.45 „Dom XXI wieku"
17.05 „Konwój"
18.00 Kronika
18.30 „Wielka gra" — teleturniej
19.15 „Bisy Pepe Romero"
19.30 „Alfa i omega"
20.00 Studio sport
21.00 FAMA '89 — reportaż
21.30 Panorama dnia
21.45 „Chateauvallon" (13)
22.40 Komentarz dnia

NIEDZIELA — 6 VIII

PROGRAM I

7.45 „Po gospodarsku" — magazyn spraw wiejskich
8.15 „Tydzień"
8.55 Program dnia
9.00 Kino teleferii: „Zwariowane wakacje"
10.10 „Z serca, czy spod sztancy?"
10.30 DT — wiadomości
10.35 „Ludy Ziemi" (3) — „Japończycy"
11.35 „A na polach żniwa" (1) — widowisko
12.35 Telewizyjny koncert życzeń
13.20 „A na polach żniwa" (2)
14.20 „Marek Sierocki zaprasza"
14.45 „Goście pałacu kieleckiego" — film dok.
15.15 Fotomagazyn „Powiększenie"
15.35 „Panna dziedziczka" (12) — serial prod. braz.
17.15 Teleexpress
17.30 Studio sport
18.40 „Antena"
19.00 Wieczorynka: „Trzy misie"
19.30 Dziennik
20.05 „Światła kabaretów" (4)
21.00 „7 dni — świat"
21.30 Sportowa niedziela
22.30 „Kinomania" Barbara Połomska
23.00 Premiery po latach: „Tyś nam obiecał ziemię sprawiedliwą"
23.30 Telegazeta

PROGRAM II

11.00 „Przegląd tygodnia" (dla niesłyszących)
11.35 Film dla niesłyszących: „Światła kabaretów" (4)
12.30 „Peryskop"
13.00 „Jutro poniedziałek"
13.30 Lokalny koncert życzeń
13.55 Powitanie
14.00 Polska Kronika Filmowa
14.10 „100 pytań do..."
14.50 „Aktualności kulturalne"
15.05 „Polacy" — film dok.
15.30 „Piknik country" — zza kulis
15.55 „Być tutaj" — Gawęda prof. Wiktora Zina
16.10 „Kino — oko"
17.00 „Konwój"
17.30 „Bliżej świata"
19.00 „Goście Daniela Passenta"
19.30 „Im lepiej, tym gorzej" — Refleksje o polskim teatrze współczesnym
20.00 Studio sport
21.00 FAMA '89 — reportaż
21.30 Panorama dnia
21.45 „Queenie" (2) — film fab. prod. USA — ang.
22.35 Komentarz dnia
22.40 „Futurologia na dobranoc"

PONIEDZIAŁEK — 7 VIII

PROGRAM I

17.10 Program dnia
17.15 Teleexpress
17.30 „Kolumbowie" (4)
18.25 „Echa stadionów"
18.50 „Bez granic"
19.00 Dobranoc „Figlarna małpka"
19.10 „Gorące linie"
19.30 Dziennik
20.05 Spektakl na bis: William Szekspir „Makbet"
22.30 Kroniki PAT — tak było...
22.45 „Wolny rynek" — fikcja czy szansa?"
23.15 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 „Czarno na białym"
19.00 „Ojczyzna — polszczyzna"
19.15 Antena „Dwójki"
19.30 XIII Starosądecki Festiwal Muzyki Dawnej
20.00 Teletrans"
20.30 „Osądźmy sami"
21.15 „Rozmowy o cierpieniu"
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Tajemnice życia Siergieja Eisensteina" — film dok. prod. szwajcarsko-ang.
22.40 Komentarz dnia

WTOREK — 8 VIII

POROGRAM I

8.50 „Domator"
9.00 Teleferie: „Wakacje z Neptunem"
9.30 Kino teleferii: „Chłopcy z naszego osiedla" (3)
10.00 DT — wiadomości
10.10 DT — dodatek gospodarczy
10.25 „Moja kuzynka Rachela" (4-ost.) — serial
16.55 Program dnia
17.00 „Radar" — piosenki powstania warszawskiego
17.15 Teleexpress
17.30 „Kolubmowie" (5-ost.)
18.25 „Z wiatrem i pod wiatr"
18.50 „Bez granic"
19.00 „Dobranoc „Przygody Bączka i Pączka"
19.10 „Od a do z"
19.30 Dziennik
20.05 „Moja kuzynka Rachela" (4-ost.) — serial
20.55 Kroniki PAT — tak było...
21.10 Program publicystyczny
21.25 „Festiwal życia"
21.55 Studio Solidarność
22.40 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 „Wojna domowa" (13)
19.15 „Piknik country" — zza kulis
19.30 „Blisko nieba"
20.00 Studio sport
21.30 Panorama dnia
21.45 „Hasło mewa" — film
23.10 Komentarz dnia

ŚRODA — 9 VIII

PROGRAM I

8.50 „Domator"
9.00 Teleferie
9.30 Kino teleferii „Piaskowy stworek" — „Ostatnie życzenie"
10.00 DT — wiadomości
10.10 „Między nami chłopakami" — film prod. CSRS
16.45 Program dnia
16.50 Losowanie Express i Super Lotka
16.55 Telewizyjny informator wydawniczy
17.15 Teleexpress
17.30 „Polskie drogi" (1) —
19.00 Dobranoc „Kolorowy świat Pacyka"
19.10 „Bocznymi drogami"
19.30 Dziennik
20.00 „Taiwańska kanasta" — film prod. jugosł.
21.35 Kroniki PAT — tak było...
21.50 „Spojrzenia"
22.20 „Historia bursztynowego słowika" (3)
22.50 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 Świat festynów"
19.00 „Przeboje Teatru Muzycznego w Gdyni"
19.30 „Wieczni jak Nil" — Reportaż z Egiptu
20.00 „Niezapomniane melodie"
20.20 Młode piękne głosy: — Beata Morawska
21.00 „Z ziemi polskiej" — film
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie" (32)
22.15 „Telewizja nocą"
23.00 Komenatrz dnia

CZWARTEK — 10 VIII

PROGRAM I

8.50 „Domator"
9.00 Kino teleferii „Zaczarowany krąg" (1)
10.00 DT — wiadomości
10.10 „Telefon 110" — „Pożegnalna pieśń dla Lindy"
16.45 Program dnia
16.50 „Poligon"
17.15 Teleexpress
17.30 „Polskie drogi" (2)
19.00 Dobranoc „Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa"
19.10 „Teraz"
19.30 Dziennik
20.05 „Ostatnia szansa" — film prod. ang.
21.35 Kroniki PAT — tak było...
21.50 „Pegaz"
22.40 „Rok 1939 — ostatni miesiąc pokoju"
23.05 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 „Strachy na Lachy" (13)
19.00 Magazyn „102"
19.30 „Świat roślin" (7)
20.00 Studio sport
21.00 „Ekspres reporterów"
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio teatralne „Dwójki" — Jerzy Broszkiewicz „Prawdziwe przygody Lemuela Gulliwera"
22.50 Komentarz dnia

(CIĄG DALSZY ZE STR. 16)

cy reńskich. Członkowie straży ogniowej za spalone ubrania otrzymali po 20 reńskich. Podobno nasz burmistrz niedomaga z przyczyny skaleczenia ręki podczas akcji ratunkowej.

Kiedy opowiadałam w domu przy obiedzie z dezaprobatą o artystach malujących zgliszcza, Prakseda zaoponowała i wyraziła podziw dla malarzy za utrwalanie dla potomnych skutków pożaru. Poparł ją Kaziu i Dominika. Joachim nie zabierał głosu, więcej chyba przez solidarność ze mną niż z przekonania.

Okazało się, że córki znają jednego z tych malarzy, bruneta o owalnej twarzy. To krewny panii Alodii, syn jej stryjecznej siostry z Krakowa. Na wieść o pożarze przyjechał w maju i żwawo zabrał się do dzieła. Deszczowy czerwiec zahamował pracę i artysta z konieczności zabawił w Nowym Sączu dłużej niż zamierzał. Ciotki, rade z pobytu wesołego młodziana, dogadzają mu i uprzyjemniają pobyt. Pan Medard, bo takie nosi imię, studiował jakiś czas w Wiedniu i obecnie otwierają się przed nim perspektywy wyjazdu do Włoch. Specjalnością jego pędzla są pejzaże galicyjskich miasteczek i wsi. To opowiadanie snute przez Praksedę z żywiołowym entuzjazmem, dziwnie mnie uderzyło. Zauważyłam zwiększoną od kilku tygodni częstotliwość wizyt córki na Grodzkiem i zmianę w jej usposobieniu. Stała się bardziej rozmarzona, zamyślona, jakby nieobecna. Łączyłam to z bliskim opuszczeniem domu przez nią i dopiero teraz spojrzałam na te przemiany innym okiem. Przejął mnie lęk o złe ulokowanie uczuć przez Praksedę.

Wczesnym popołudniem Prakseda nastawiła wodę w saganie, wyciągnęła miednicę i zaczęła się myć, w kącie kuchni za parawanem. Potem układała sobie włosy przed lustrem i przymierzyła ze cztery sukienki, zanim zdecydowała się na liliową krepdeszynową z czarnymi riuszkami i szeroką falbaną. Zapowiedziała późny powrót z uwagi na przyjęcie wyprawiane u pani Alodii, na którym miała śpiewać w tercecie z panną Arminą i panem Teyrowskym.

Pani Alodia obiecała odwiezienie córki fiakrem. Stała długo po ciemku przy oknie, wsłuchując się w wieczorną ciszę. Z oddali dobiegł mnie jakiś pijacki śpiew, potem zadudniły czyjeś kroki. Było chyba koło północy, gdy usłyszałam turkot dorożki. Wybałuszyłam oczy, bo noc — bezgwiezdna i bezksiężycowa — utrudniała widzenie. Pierwszy zbiegł szczupły mężczyzna owinięty białym szalem i podał rękę córce. Prakseda schodziła z dorożki niczym hrabianka, tyle w niej było gracji. Rozmawiali króciutko i malarz — to na pewno był on — pocałował córkę w rękę. Prakseda weszła do domu, a ja szybko wpadłam do łóżka i udawałam sen. Joachim obudził się i pytał córkę o wrażenia. Rozmawiali długo szeptem i nic nie słyszałam.

Nazajutrz poszłam specjalnie na Rynek, aby przyjrzeć się artyście. Malował w skupieniu przy sztalugach i nikogo nie dostrzegał. Jego twarz nie ujawniła mi nic. Zawiedziona wróciłam do domu. Wstąpiłam do sklepu z zamiarem powierzenia swojej bolączki mężowi, ale Joachim wyszedł do urzędu skarbowego. Pogawędziłam z Hipolitem i dowiedziałam się od niego o rychłym czytaniu jego zapowiedzi z Nyftonówną. Zrobiło mi się jakoś nieswojo. Wprawdzie nie widziałam Narskiego jako zięcia, lecz starał się o obie moje córki i Joachim nie był przeciwny tym planom. Skoro go nie chciały, zwrócił się w inną stronę, rozumiem to, tylko coś mnie ukłuło. A Olimpia milczała jak zaklęta, nie puściła pary u ust. Z całej rodziny najsympatyczniejszy jest stary Nyfton i Julek, reszta podała się na Olimpię i pozuje na pańskość. W niewesołym nastroju wyszłam ze sklepu. Pogrążona w smętnych myślach, dobiegła na moście Maryjka. Była zdyszana, roześmiana, jak wiosenka promieniująca radością. Wzięła mi z ręki torbę i uściskała. To kochane, dobre dziecko, z którym nie miałam nigdy kłopotów ani trosk. Maryjka wygląda ładnie, zdobi ją dobry humor, to nieprawda, że jest najmniej urodziwa z moich córek, choć kiedyś słyszyłam taką opinię. Okazało się, iż Maryjka wiedziała o zaręczynach Hipolita z Michašką, Julek jej mówił. Myślała, że my też o tym wiemy od Joachima.

Maryjka skończyła już naukę u pani Pasionkowej i jako jedna z jej najlepszych uczennic dostąpiła możliwości pozostania w pracowni w charakterze krawcowej. Skorzystała z tego i już od lipca pracuje na dogodnych warunkach. Postanowiła składać pieniądze na futrzaną czapkę z kołnierzem. Wprawiła mnie w miły nastrój swym optymizmem i realnością zamierzeń. Nieraz myślę, że Maryjka będzie najszczęśliwszą z moich córek. Zawdzięcza to pogodnej naturze i chodzeniu po ziemi, nie w obłokach.

Już przy domu córka zwierzyła mi się ze swej szczerej sympatii do Julka Nyftona. Domyślałam się tego już od roku.

W jesieni Julek idzie do wojska, a po jego powrocie należy spodziewać się pomyślnego finału. Nie mam nic przeciwko temu, tylko nie sprawia mi przyjemności myśl bliskiego powinowactwa z Olimpią. Może do tego nie dojdzie? Zachowałam to dla siebie, nie chcę mącić jasnych blasków otaczających Maryjkę.

W domu Prakseda czytała podniecona list z Wiednia. Nikomu nie ujawniła jego treści i po południu wybrała się do pani Alodii. Wróciła wieczorem i Bogna podpatrzyła, że odprowadził ją nieznajomy pan w szerokim kapeluszu i pelerynie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Nagroda za guzik

Tegoroczną nagrodę Genewskich Targów Wynalazców otrzymał Szwed, Gudmar Olofsson za... guzik. Nie musi on już być przyszywany. Nowe guziki będą zaopatrzone w rodzaj śrubki, przekłuwającej materiał, do której z drugiej strony można przykręcić rodzaj nakrętki. Guziki tego typu produkowane będą z plastiku. Całe „zainstalowanie" guzika zajmie sekundę. Właściciel odzieży może zawsze mieć przy sobie guziki rezerwowe. Sądzę, że ten wynalazek bardzo ułatwi nam życie.

Grobowce

W Grecji odkryto groby pochodzące z okresu X-IV w. p.n.e. Groby te znajdują się na terenie starożytnego miasta macedońskiego — Pydnas. Wszystkie są w idealnym stanie. Cmentarzysko znajduje się w odległości 70 kilometrów na południowy zachód od Salonik.

Natrafiono na nie podczas budowy nowego hotelu. W grobowcach znaleziono złote korony, ozdobne wazy, hełmy i włócznie.

Koran na pamięć

Okazuje się, że można. Tę umiejętność posiadł dziewięcioletni (!) Mohamed Al-Sayed mieszkający w pobliżu górnoegipskiego, nadnilskiego miasta Assuan. Ciekawy jest fakt, że mały Mohamed nie umie czytać — jest niewidomy. Wkrótce rozpocznie on studia na słynnym muzułmańskim kairskim uniwersytecie Al-Aghar. Egipskiego malca odwiedził ostatnio saudyjski monarcha, król Fahd. Będzie on finansował studia małego fenomena.

Biżuteria Ulriki

W Muzeum Czeskich Granatów w Turnowie, we wschodnich Czechach, przechowywany jest komplet ozdób, należący do ostatniej miłości niemieckiego poety Johanna Wolfganga Goethego, Ulriki von Levetzow. Komplet składa się z pierścionka, broszki, bransoletek, kolczyków i naszyjnika. Wszystkie te klejnoty wykonane są ze złota i czeskich granatów.

Tuba gigant

W Kraslicach, w zachodnich Czechach, w siedzibie znanej fabryki instrumentów muzycznych, znajduje się największa tuba na świecie. Jej wysokość wynosi 2,6 m, ciężar prawie 50 kg, a średnica czary głosowej przekracza metr. Tuba wydaje najgłębsze tony ze wszystkich instrumentów. Od roku 1926 była wystawiana już w wielu krajach świata.

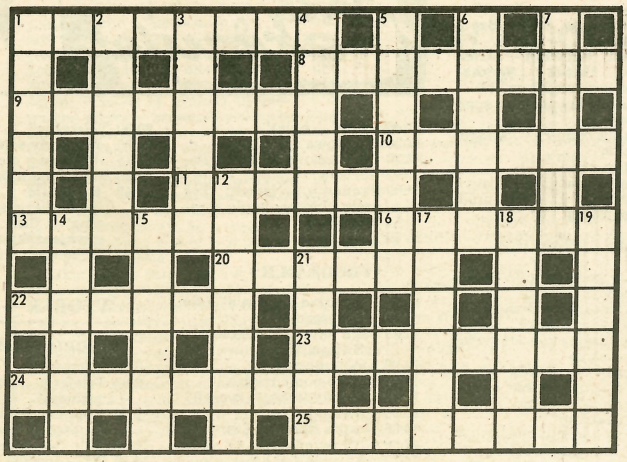

KRZYŻÓWKA NR 31

POZIOMO: 1) Największy w Polsce ośrodek turystyki i sportów zimowych, 8) król — poległ broniąc Termopil, 9) służy do smażenia potraw, 10) czynsz dzierżawcy, 11) ubytek, utrata, 13) garaż dla samolotów, 16) Jan Botto — poeta słowacki, modernista, 20) Chińczyk, Turek lub Koreańczyk, 22) zboczenie seksualne, 23) spis towarów w sklepie, 24) nauczyciel szkoły elementarnej, 25) miasto w Japonii (Honsiu),

PIONOWO: 1) woń, odór, 2) w obuwiu damskim — podeszwa pogrubiona w miejscu obcasa, 3) dokument ubezpieczeniowy, 4) niegniotliwa tkanina, 5) wyłącznik, 6) wykrzyknik w matematyce, 7) marynarz, 12) pojazd szynowy, 14) rzeka w ZSRR, uchodzi do Morza Łaptiewów, 15) wykrzywienie twarzy — wyraz nieprzyjemnego uczucia, 17) grządka kwiatowa, 18) do pasa kobieta, a od pasa ryba, 19) wykwity na skórze, najczęściej u chorych na kiłę, 21) imię Leskiego z „Anastazji" I.G.Kamińskiego.

LESZEK KSIĄŻKO

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 11 sierpnia 1989 r.

Rozwiązanie krzyżówki nr 29

POZIOMO: 1) pątnik, 5) skopek, 9) rysa, 10) Amiens, 12) abak, 15) organki, 18) obrona, 20) Selene, 21) kasztan, 25) trik, 27) rumian, 28) czasza, 29) yale, 30) makata, 31) szabla.

PIONOWO: 1) ponton, 2) nacja, 3) krzak, 4) usta, 6) kompres, 7) pierwnat, 8) kosz, 13) bilet, 14) korki, 16) giermek, 17) nietakt, 19) Ankara, 22) akces, 23) zwada, 24) grom, 26) Real.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 29, w wyniku losowania nagrody otrzymują: **Anna** i **Jacek Sokołowscy** z Piwnicznej i Bogusława Wilczek z Zakopanego.

Nagrody książkowe prześlemy pocztą.

HOROSKOP

BARAN: znajdziesz się w zupełnie nowym otoczeniu i możesz mieć spore trudności, by się do niego dostosować — licz na pomoc bliskich ludzi, ale nie zapominaj, że i oni czekają na twój życzliwy gest.

BYK: zamiast martwić się i narzekać — rozejrzyj się uważnie; wiele możesz zrobić i z wielu rzeczy możesz być zadowolony — niech ci nie brakuje odwagi, pokaż, że masz inicjatywę.

BLIŹNIĘTA: pośpieszne i nerwowe załatwianie wielu spraw, uważaj, żebyś się nie pogubił — właściwa decyzja będzie wiązała się z wieloma problemami, nie bój się więc komplikować sobie życia, wyjdzie i tak na twoje.

RAK: nadchodzą dobre dni, wykorzystaj je jak najlepiej — uważaj tylko, aby dobrego nastroju nie przysłoniły ci sprawy, które choć ważne — wcale nie będą wysuwać się na pierwszy plan.

LEW: zakres twoich obowiązków znacznie się powiększy, lecz nie traktuj tego jako zagrożenia — zyskasz nowe doświadczenia, które mogą wiele zmienić w twoim życiu, bądź jednak ostrożny.

PANNA: musisz pokazać się z jak najlepszej strony, to bardzo ważne — później będziesz czerpać z tego korzyści, niczego więc nie zaniedbuj.

WAGA: po dniach napięć i zdenerwowania musisz znaleźć czas na spokojną rozmowę, która pozwoli ci zrozumieć, dlaczego tak się stało — nie odkładaj jej, nie bój się, nie obawiaj się odkryć własnych kart.

SKORPION: wszystkie plany okażą się pisane na wodzie, mimo to będziesz zadowolony — wydarzenia zapowiadają się obiecująco, nie popsuj tego nieprzemyślanymi krokami.

STRZELEC: otoczenie nie bardzo rozumie twoje postępowanie, uważaj, bo możesz osiągnąć odwrotne skutki niż zamierzasz — konflikt z komś bliskim może być groźny.

KOZIOROŻEC: dobry nastrój nie będzie cię opuszczał, choć nie wszystko będzie się układało zgodnie z twoimi oczekiwaniami. Czeka cię intensywna praca, nie odkładaj jej — teraz masz największe szanse na sukces.

WODNIK: kilka spraw, teraz dla ciebie najistotniejszych, przebiegnie bardzo pomyślnie — dlatego na przyszłość będziesz patrzył optymistycznie, ktoś bliski może z tego skorzystać.

RYBY: u celu możesz nieco inaczej ocenić sytuację, ale to przecież nie spotyka tylko ciebie — nie rób sobie wymówek, raczej wyciągaj wnioski na przyszłość.

GABRIELA R. DANIELEWICZ (114)

Pamiętnik sądeczanki

Burmistrz dr Karol Slavik zadziwił miasto udostępniając swoją posesję przy ulicy Jagiellońskiej bezdomnym. Zamiast docenić jego chwalebny czyn, niektórzy z przekąsem tłumaczą go wyrzutami sumienia burmistrza za niedopatrzenia. Oburzam się słysząc to bzdurne gadanie i jeszcze bardziej szanuję burmistrza za wielkoduszność i miłosierdzie. Za jego pięknym przykładem poszło kilka rodzin inteligenckich, przyjmując do siebie pogorzelców. Biura magistrackie ulokowano w domu pani Szaflarskiej przy ulicy Pijarskiej, wyjątkowo ocalałym z pożogi. Rady Miejskie obradują przeważnie w prywatnych mieszkaniach.

8 lipca 1894 r.

Przyjechał Ludomir. Był kilka dni w Krośnie u pana Henryka Kisielewskiego. Nauczyciel zapadł poważnie na zdrowiu i jest załamany, gdyż realność jego przy ulicy św. Ducha doszczętnie spłonęła. Nie pierwszy to przypadek, o którym słyszę, wiele osób przypłaciło utratę mienia podkopaniem zdrowia, są i wypadki pomieszania zmysłów. Ludomir jest smutny, przejął się losem pana Kisielewskiego.

Odwiedził pana Józefa Gutowskiego i wrócił z pomyślną nowiną — wkrótce zacznie ukazywać się w Nowym Sączu nowe czasopismo przeznaczone dla ogółu mieszkańców, poświęcone głównie sprawom miejskim. Ma się nazywać „Mieszczanin". Podobno z pismem tym wiąże nadzieję sądecka elita.

Rada Miejska ustaliła sprawy związane z regulacjami pożarowymi. Nastąpi poszerzenie ulicy Kościelnej do 12 m przez obcięcie realności Sary Ehrlichowej i poszerzenie ulicy św. Ducha, plac po spalonym szpitalu dla ubogich obok kościoła jezuitów zostanie nie zabudowany.

Parę dni później

Przed południem udałam się aż na Wólki zamówić wapno gaszone potrzebne do załatania dziury w ścianie naszego domu. Obok przystanku kolejowego znajduje się skład pani Bogumiły Tarsińskiej z węglem, koksem, wapnem, gipsem i innymi podobnymi towarami. Chodzą słuchy, że u niej taniej, więc nie pożałowałam czasu, aby oszczędzić trochę centów. Skład jest duży, pełno w nim worków, skrzyń, pudełek i paczek. Węgiel i koks leżą na placu. Pani Tarasińska prowadzi interes po zmarłym mężu. Do dźwigania i ważenia ma pomocników, sama kasuje pieniądze i wszystkiego dogląda. Patrzyłam na nią z uznaniem. Wzięła się za typowo męskie zajęcie i widać dobrze sobie radzi. Gdyby mieć taki skład opału! Westchnęłam zdając sobie sprawę z nierealności tej mrzonki. Opłaciłam co trzeba i uzgodniłam, że pod wieczór odbierzemy wapno. Celestyn przywiezie je na welocypedzie.

Wracając z Wólek, pod wrażeniem pani Tarasińskiej zamyśliłam się o córkach. Ich przyszłość spędza mi sen z powiek. Daliśmy spokój z namawianiem Dominiki do małżeństwa, odkąd wśród szlochu wspomniała o ucieczce z domu.

Sensownego zajęcia dla niej nie ma. Z powodu pożaru odwlekł się wyjazd Praksedy do Lwowa, pojedzie dopiero w sierpniu z Antosiem. Syn wybiera się do nas pod koniec lipca.

Zatrzymałam się w Rynku i raz jeszcze oglądałam zmieniony krajobraz. Na wozach wywożono sterty zwęglonego drewna, stróże czyścili pogorzelisko. Żałosny i przeraźliwie smutny widok. Od strony południowej ujrzałam dwóch młodych mężczyzn przy sztalugach, na których rozwieszone były płótna. Ubrani byli ekstrawagancko, w szerokich kapeluszach. Jeden zamaszyście machał pędzlem patrząc na kikuty ratusza. Obok niego leżała paleta i stałe wiaderko. Drugi spacerował wolno, jakby szukając natchnienia. Twarz jego wydawała mi się znana. Widziałam go już w Rynku, pojawił się wnet po pożarze. Przystojny, o pociągłej, szczupłej twarzy, błyszczących oczach i czarnych włosach. Podczas czerwcowych ulew zawijał się w obszerną ciemną pelerynę. Na tle cierpienia i niedoli pogorzelców widok beztroskich artystów wzbudził we mnie niesmak i niechęć.

— Żerują na cudzym nieszczęściu — powiedziałam półgłosem i usłyszała mnie przechodząca obok pani Maria Sierpowa z Piekła. Przyznała mi rację i poszłyśmy razem ulicą Lwowską w dół. Energiczna z niej niewiasta, pomaga mężowi w utrzymaniu licznej rodziny. Ma żal do Rady Miejskiej o niewydanie jej zgody na prowadzenie kramu z owocami i pieczywem naprzeciw szkoły męskiej. Od niej dowiedziałam się o nabyciu przez panią Michalinę Iżycką browaru miejskiego. Oczy nam się zapaliły do tej transakcji. Mamy podobne zamysły z panią Sierpową, tylko na przeszkodzie stoi brak pieniędzy. W przypadku browaru — 15 tysięcy.

(CIĄG DALSZY NA STR. 15)